

POLSKA EMIGRACJA POLITYCZNA STANU WOJENNEGO 1981 DO NORWEGII

realizowany przez konsorcjum:



ARCHIWUM PAŃSTWOWE DOKUMENTACJI OSOBOWEJ I PŁACOWEJ W MILANÓWKU



OPPLANDSARKIVET AVDELING MAIHAUGEN W LILLEHAMMER



FUNDACJĘ KORPUS OCHOTNIKÓW SPECJALISTÓW W WARSZAWIE

**Wywiad z Ryszardem KALINOWSKIM
przeprowadzony przez Jacka Galewskiego (część polskojęzyczna)
i Karen Bleken (część norweskojęzyczna)
w Stavanger, dn. 10 czerwca 2010 roku**

Nazywam się Jacek Galewski; wraz z Karen Bleken reprezentujemy polską i norweską służbę archiwalną oraz Polską Fundację Korpus Ochotników Specjalistów, realizujące misję „Ocalmy od zapomnienia”.

Prowadzimy badanie dotyczące losów osób, które po wprowadzeniu stanu wojennego w roku 1981 doznały represji, a w dalszej konsekwencji opuściły Polskę i osiedliły się w Norwegii.

Chcielibyśmy porozmawiać o okolicznościach ich wyjazdu z Polski, jego następstwach i odczuciach z tym związanych. Nasza rozmowa będzie prowadzona w pierwszej części w języku polskim, w kolejnej części po norwesku, a następnie na zakończenie znowu w języku polskim.

Ponieważ nasza praca ma charakter dokumentacyjny, nasza rozmowa będzie rejestrowana za pomocą dyktafonu oraz kamery. Poza nagraniem archiwalnym z fragmentami po polsku i norwesku istnieje równoważna wersja pisemna z tłumaczeniem części norweskojęzycznych na polski.

Niniejsza wersja jest wersją całkowicie polskojęzyczną. *Tekst oznaczony kursywą stanowi tłumaczenie części norweskojęzycznej, gdzie osobą pytającą była norweska reporterka Karen Bleken.*

Ryszard Kalinowski: Nazywam się Ryszard Kalinowski, urodzony 21 grudnia 1952 roku w Elblągu. Tam też się wychowywałem i tam kończyłem szkoły.

JG: **Jak opisałbyś swoją rodzinę? Kim byli rodzice?**

RK: Jeżeli chodzi o rodziców, to musiałbym troszkę wrócić do początku drugiej wojny światowej, bo to jest dość ciekawy temat, który chyba później w mojej przyszłości rozwija się. Rodzice byli prostymi pracownikami. Mama pracowała w zakładach

odzieżowych jako krawcowa, a tata - w elbląskim, tak zwanym ZAMECHu, też jako zwykły robotnik. Dlaczego wspomniałem o tym? Bo to jest bardzo ciekawa rzecz, która mówi o historii mojej rodziny, która w większości jest powtarzalną historią do wielu rodzin w Polsce z tamtego okresu, a jednocześnie przedstawia, jak trudna była sytuacja Polski przed wojną. Poprzez rozbiory i podział Polski. Jak wybuchła druga wojna światowa to mój dziadek, Walery Kalinowski był zawiadowcą małej stacji kolejowej Zarska Wola. To była ostatnia stacja kolejowa przed Prusami Wschodnimi. Tak, że jak przyszli Niemcy, wybuchła wojna, to dziadka zabrano i wysłano do Niemiec, do obozu zagłady, bo wtedy jeszcze na terenie Polski nie było obozów zagłady i on tam zmarł. Nie przeżył tego, bardzo krótko po tym zmarł. Korespondencja dziadka, przyszła obrączka, takie osobiste rzeczy. To Niemcy odesłali z powrotem, to był jeszcze początek. Młodszy brat mojego ojca, który, nie pamiętam, czy już skończył, czy chodził do gimnazjum w Grudziądzu został zwerbowany do Wehrmachtu niemieckiego i wysłany na front wschodni. Ojciec został zmuszony do pracy u niemieckiego bauera, rolnika i pracował całą wojnę. Kiedy przyszli Rosjanie, no, to zawsze byli „dobrzy ludzie”, którzy cokolwiek opowiadają i powiedzieli Rosjanom, że ojca brat był w Wehrmachcie, na co Rosjanie wzięli mego ojca i wysłali na Sybir. Ojciec wrócił w 1950 roku z Syberii, poznał moją mamę...

JG: Już w Polsce?

RK: Tak, w Polsce. W Elblągu. No, bo babcia została sama, straciła wszystko praktycznie. Tylko tego jednego syna miała, który miał na imię Heliodor. I jak ja miałem jedenaście lat...

JG: Wracał do Elbląga jako repatriant?

RK: Nie, nie. Zanim ojciec wrócił z Syberii, to babcia [przyjechała do Elbląga] właśnie tam z tej wsi, z Zarskiej Woli, bo kiedy przyszli komuniści, to tam to, co było prywatne, to już nie było prywatne, więc to co babcia tam na... Między innymi ten zegar przeżył [wskazuje] tą całą wojnę i tą całą wicherę wojenną. Babcia przyjechała do Elbląga, bo chciała odnaleźć swoich dwóch synów. Już wiedziała, że mąż nie żyje, czyli mój dziadek Kalinowski... A co ciekawe jeszcze... Dziadek Kalinowski służył w gwardii przybocznej cesarza Niemiec Wilhelma i gdzieś tam było... To zdjęcie później zginęło, ale było zdjęcie, kiedy stoi w tej pięknej czapie. To jest historia Polski właśnie, jak ludzie byli rzucani w zależności, jaki był wiatr polityczny, albo jaki był system polityczny. I jak ja miałem jedenaście miesięcy, w 1953 roku, to ojciec zmarł na raka.

JG: Czy miałeś rodzeństwo?

RK: Tak, siostrę mam młodszą. Z następnego związku mamy, mam młodszą siostrę, która mieszka obecnie w Holandii.

JG: Czy masz poczucie, że wyniosłeś z domu jakieś określone przekonania?

RK: Nie, nie. Mama nas wychowywała sama, tak, że moje młode dzieciństwo, to była ulica. W typowym mieście... Typowo robotniczym. Gdzie mama pracowała i na zmiany albo jeżeli pracowała na jedną zmianę, to przychodziła do domu i tak była około godziny czwartej; czyli jak się przychodziło jako dzieciak ze szkoły o jedenastej, czy o dwunastej, to było dużo godzin na ulicy. Ale właśnie, dlaczego wspomniałem o tej mojej rodzinie z początku drugiej wojny światowej. Bo ja uważam, że jeżeli w samym domu nie mówiono o tych wartościach narodowych... O jakichś wartościach ludzkich i takich historycznych, to ja myślę, że chyba u mnie w podświadomości to się rozwijało. To położenie Polski, że nie ma pewności, czy przyjdą z zachodu, czy przyjdą ze wschodu, to my zawsze musimy jakąś karę ponieść. Nawet, czy się było obojętnym albo czy się

było stronnictwem, w jedną, czy w drugą stronę. Ja myślę, że to, co ja obserwowałem, co się działo w Polsce w tamtejszym systemie, a przede wszystkim jako dziecko, to uważam, że system to jest szkoła. To, co się dzieje na ulicy, co się dzieje w domu, to dziecko nie kojarzy tego z systemem politycznym, ale to, co się dzieje w szkole, to zaczyna... To nie znaczy, że jest świadome, ale zaczyna rozumieć, że coś nie tak jest w sprawach wychowania, zachowania się nauczycieli. Tematów poruszanych później, już od piątej klasy wzwyż.

JG: A jest taki moment, który pamiętasz jako taki moment, kiedy poczułeś, że coś jest nie tak?

RK: Wiesz, ja ci powiem, siódma klasa lub ósma szkoły podstawowej... Siódma bodajże, w Elblągu, w szkole podstawowej numer 3... Trudne dzieciństwo miałem, bo do szkoły było trzeba iść po wielkich schodach do góry, a jak przychodziłem do szkoły, to znowu ulicą do góry. Tak dwa razy miałem dziennie pod górkę. I do szkoły, i do domu. W siódmej klasie, kiedy wprowadzono wychowanie obywatelskie, to była czysto propagandowa lekcja, chyba nawet nie tego pokroju, co Giertych chciał wprowadzić, tylko jeszcze chyba lepsza, to była tak zwana prasówka, pięciominutowka. I było trzeba powiedzieć, co się w gazecie przeczytało. Ale był kolega nasz, Tofcik się nazywał i Tofcik zawsze, tak jak taki typowy Jasiu z kawałów, gdzie nauczycielka go zawsze do końca trzymała, jak już wszystko przepytala, to zawsze „dobrze, Tofcik, to powiedz”. I Tofcik wstawał i zaczynał: „A <Wolna Europa>...”. I... No i ten Tofcik nam o tej „Wolnej Europie”, my zaczęliśmy słuchać też w domu „Wolnej Europy”. Chłopcy, koledzy z klasy. I te swoje poglądy wymienialiśmy, i doszło do tego, że myśmy zorganizowali sobie taką grupę. Myśmy za bardzo nie wiedzieli, co z tym zrobić. Mieliśmy różne pomysły, dobrze, że do tego nie doszło, bo by nas po prostu pozamykano wtedy. Ja uważam, że to był pierwszy taki nieświadomy odruch protestu przeciwko systemowi, który wtedy istniał, a myśmy byli za młodzi i za mało wiedzy chyba posiadaliśmy, żeby zrozumieć naprawdę, o co chodzi. Ale było to, że się spotykaliśmy i jak ja, na przykład, dzisiaj oglądam z materiałów telewizyjnych niektóre takie zdjęcia archiwalne, jak to się KOR spotykał, to my wtedy, jako te dzieciaki czternasto-, piętnastoletnie, to my też tak robiliśmy, że gdzieś tam się właśnie w jakimś parku, czy w lesie spotykaliśmy, żeby nikt nie słuchał. I mówiliśmy o tym, co się w Polsce dzieje, co się źle dzieje i tak dalej.

JG: A należałeś do jakichś organizacji?

RK: No, nie no, oczywiście, trzeba było chodzić do harcerstwa, bo to było trochę więcej jak szkoła i okolice, bo to gdzieś tam jakieś zawsze biwaki i tak dalej. I biblioteka oczywiście, bo było trzeba te wszystkie książki... Winnetou i tak dalej przeczytać, bo to ten przecież młodzieńczy wiek, ale... Trzeba pamiętać też, że i w tamtym czasie, i później, kiedy ja działałem w podziemiu, to jednak środowiska ludzkie w miastach, w których nie ma środowiska studenckiego, to są bardzo ubogie intelektualnie środowiska. To jest ważne, kiedy w mieście jest środowisko studenckie. Bo jako młodzi nie mieliśmy kolegów, czy starszego rodzeństwa, które studiuje, chodzi na studia i przynosi nam tą wiedzę, którą wynoszą ze studiów. Bo studenci zawsze są... To są w końcu, powiedzmy, wolni, dorośli ludzie, którzy już na świat patrzą bardziej dorośle jak młodzi ludzie, którzy są w szkołach podstawowych i średnich, czy tam zawodowych, prawda. Przynajmniej to są ludzie, którzy wyszli już spoza domów, spoza tego systemu rodzinnego, „tego ci nie wolno, tam nie chodź, o tej godzinie wróć” i tak dalej. Ja myślę, że w tamtym czasie też, w szkole podstawowej, my nie mieliśmy żadnego takiego kontaktu z ludźmi, którzy mają troszkę inne spojrzenie. A znowu osoby starsze, które przeszły system, ten stalinowski, lata [19]56 Poznań i tak dalej, w Polsce, to ja myślę, że... Ja znałem takich, ale oni tak to cichutko to radio słuchali „Wolna Europa”, tego się bardzo bali, chociaż mieli swoje

zdecydowane zdanie i mieli własną historię, którą też nie zawsze chcieli do końca opowiedzieć. Ale to nie było dla nas... To nie byli koledzy, którzy nam mogli mówić, mogli nam coś przekazać. Jednak brak tego środowiska studenckiego, ma duże znaczenie dla miast polskich.

JG: A jak zaczął się świadomy sprzeciw w twoim przypadku?

RK: Masz na myśli Sierpień?

JG: Jeśli wtedy, to tak, bo rozumiem, że było też coś wcześniej.

RK: To znaczy to była też ta... Ta opozycja, czy protest nieświadomy, to znaczy grudzień 1970 roku, bo wtedy Elbląg był jednym z tych trzech [miejsc], gdzie były największe protesty. Protesty polegały na rozróbach. Dołożyć milicji i tyle, no. Nie wiem, w jakiś sposób, czy ktoś był świadomy, czy ktoś to nakręcał, że tam gdzieś właśnie palić te komitety wojewódzkie partii...

JG: Czy chcesz powiedzieć, że w elbląskim przypadku to miało taki chuligański posmak bardziej niż...?

RK: Znaczący, to nie... Ja nie chcę określać, bo ja byłem za młody, ja miałem osiemnaście lat, więc ja byłem za młody, żeby to do końca rozumieć, o co chodzi. Ale była chęć wyzwolenia tego protestu. Jak kto potrafił, no, to już jest bardzo prywatna rzecz. Bo ja mam tą skalę porównawczą, 1970 i 1980, prawda. 1980 rok to były postulaty, to były konkretne strajki, kiedy... 1970 rok nie było strajków, nie było postulatów, po prostu szło się na miasto, żeby demonstrować, no, jak demonstrować? Demonstrować, dlatego że policja do nas strzelała gazami, że nas tam ścigała i łąpała, no, to myśmy im też tam dokuczali, kamieniami, czym się dało. To był ten protest. No i wieczorem się wracało do domu, szło się do szkoły, i potem wracało się ze szkoły, i znowu się szło do miasta, żeby protestować, ale to było bardzo prymitywne.

JG: Dojdźmy teraz do tego, jak to się stało, że mówisz „w nas gazami”.

RK: Dlaczego? Dlatego że wychodzisz z domu jako pojedyncza osoba, na ulicy spotykasz kolegów, czyli jest już was grupa, dwie, trzy, cztery, pięć, może dziesięć osób. Ale jeżeli przychodzisz do miasta, do centrum i jest demonstracja, to już jest masa ludzi. To jesteśmy „my”. Już wtedy nie wiesz, że jesteś z Jankiem, z Kazikiem, czy z Frankiem. Jesteśmy „my” jako masa. I wtedy zaczyna się ta cała zabawa tego tłumu w jedną stronę i tej... w tamtych czasach milicji.

JG: I tak było w twoim przypadku? Tak było w 1970?

RK: W 1970 roku, tak. Tak było w większości miast, bo to były niby demonstracje... I w większości się szło pod komitet wojewódzki, dlatego że teoretycznie system władzy był jaki był, z najwyższą głową państwa, czyli przewodniczącym rady, czy Sejmem, a jeżeli nie, to przewodniczącym rady narodowej, tak to się chyba nazywało...

JG: Rady Państwa.

RK: Rady Państwa, przepraszam... Ale wszyscy wiedzieli, że główną siłą polityczną i wykonawczą to jest partia, więc szło się tam protestować. I to było, że jak się szło pod ten komitet wojewódzki, to ta milicja ochraniała teren, zaczynały się wtedy przepychanki.

JG: A pierwszy świadomy moment w twoim przypadku?

RK: Chyba po Radomiu 1976 roku. Tak myślę, że to był taki pierwszy świadomy, bo wtedy już i byłem w miarę już dorosłym człowiekiem. Po tych wszystkich moich

wcześniejszych wydarzeniach i po tych przejściach w Elblągu w 1970 roku, kiedy... No, była ta euforia. Przyszedł Gierek, przyszyły podwyżki, w sklepach się pokazało, ale to było w telewizji. To, co było dla nas, to się wiedziało, że ludzie zostali pobici, zostali skatowani, że ta ubecja zaczęła inaczej pracować, że przychodzili do mieszkań, żądali rachunków za rzeczy, które były. Szukali, uważali, że to na przykład zostało skradzione. Były przecież sklepy okradane w tamtych czasach. Ja myślę, że chyba wtedy tak... Nie pamiętam dokładnie, ale myślę, że tak, jeżeli mogę przypomnieć sobie, to jednak po 1976 roku.

JG: Skąd się dowiedziałeś o Radomiu?

RK: Nie, nie... Mógł to być „Głos Wolnej Ameryki”, mogło to być „Radio Wolna Europa”, ja myślę, że chyba z tych struktur. Ja do 1980 roku nie miałem w ręku ulotek, na przykład. Tak, że na przykład jak powstanie KORu, to jakieś... Ja nie chcę dzisiaj twierdzić, że na pewno, ale podejrzewam, że to było przez te właśnie zagraniczne radia.

JG: Pomówmy o 1980 roku. Gdzie wtedy pracowałeś?

RK: W 1980 roku pracowałem w takim elbląskim przedsiębiorstwie, to się nazywało Elbląskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego.

JG: Skończyłeś technikum, jak rozumiem?

RK: Tak. I byłem kierownikiem działu kontroli technicznej, czyli wszystko, co wyjeżdżało z zakładu było kontrolowane przeze mnie plus dopilnowanie wszystkich serwisów, które warsztat musiał wykonać. To taka praca. Niektórzy ich nazywali „wewnętrzny policjant”. No, jasne, nikt nie lubił, kiedy stoi facet codziennie rano na bramie i kontroluje, czy wszystkie światełka migają, czy dokumenty są i jeszcze, czy chuch jest... Nie jest za zdrowy od wczoraj.

JG: Mieszkałeś z mamą wtedy jeszcze?

RK: Nie, nie. Już z Ewą. W 1979 roku pobraliśmy się.

JG: A jak się poznaliście?

RK: Na dyskotecce. Przypadkiem, śmiesznie. Klepka była wyrwana w parkiecie i po szybkich tańcach były wolne, i Ewa szła tam gdzieś w swoją stronę i się potknęła. No i tak zatańczyliśmy, i tak się zaczęło. Braliśmy ślub na początku roku 1979, a Kasia pod koniec się urodziła w 1979. Tak, że to już Kasia była też już przedsierpniowa.

JG: Pomówmy teraz o Sierpniu. Jak to pamiętasz?

RK: Znaczący, to było... Hm, dość ciekawe, dlatego że tydzień już byłem w Gdańsku, były w Stoczni strajki i w Elblągu było wiadomo... I ten Elbląg zawsze miał z Gdańskiem dużo takiego politycznego, wspólnego. Właśnie grudzień 1970, prawda, tak samo. Teściowej rodzina mieszkała w Gdańsku. Wtedy poprosiłem kolegę, żeby mi pożyczył syrenkę, żeby jechać ich odwiedzić. No i tą syrenką... Bambarambam... Pojechaliśmy do Gdańska. I ja z teściowej bratem, który nie jest dużo starszy ode mnie, poszliśmy pod Stocznę, zobaczyć, ja tam z ciekawości. Tam właśnie dostałem ulotki, które pozbierałem, po to, żeby przywieźć do Elbląga i... i pokazać. Za bardzo nie wiedziałem wtedy, co ja z tymi ulotkami zrobię, jak będzie poniedziałek mój wyglądać, to absolutnie nie wiedziałem. Tak, że wróciliśmy do Elbląga i z tego względu, że ja musiałem w tej firmie być wcześniej. Ja zaczynałem, jeżeli dobrze pamiętam o szóstej, czy tam pół do siódmej, a o siódmej firma zaczynała pracować. No i żeby być jak te pierwsze pojazdy wyjeżdżają, musiałem dużo wcześniej przyjść. I zasnąłem tego dnia, przysnąłem troszkę. No i zerwałem się szybko na... Do samochodu, do tej syrenki i

jadę, i widzę, ludzie stoją na przystankach, mówię... Zegarek miałem źle ustawiony, przecież jeszcze ludzie do pracy nie dojechali. No i przyjechałem do pracy, i przyszedłem do działu transportu, gdzie siedział kierownik transportu, on zawsze miał taką książkę dyspozycyjną, gdzie który samochód ma jechać. Książka zamknięta, ten kierownik siedzi, no i się pytam, co się dzieje. On mówi, że chyba strajk będzie. No i kierowcy, ja wyszedłem... Kierowcy nie wyjeżdżają w ogóle, więc znalazłem ich stojących w kółku, podszedłem do nich bardzo zdecydowanie i mówię, że „ja chcę wiedzieć, jaka jest wasza decyzja. Albo idziecie do pracy, albo strajkujecie. Nie ma tak, że stoicie i nie wiecie, co. To trzeba podjąć decyzję”. I wróciłem do biura, i kierownik transportu już w ogóle miał panikę, bo on pamiętał siedemdziesiąte lata, kiedy ludzi na taczkach wywożono z zakładu pracy. No i wyszedłem jeszcze raz, i oni mówią, że chyba będą strajkować. No i... To był cały mój problem, bo ja nie byłem zwykłym robotnikiem, tylko ja byłem w kadrze. Podobny był problem wybierania przecież z Wałęsą, właśnie ten cały... Ten balans, kto i kiedy, Gwiazda przecież, inżynier, nie mógł kierować strajkiem późniejszym. Ja nie pamiętam szczegółów, tak, że się zebraliśmy na świetlicy i przyszedł dyrektor, który powiedział między innymi to samo. „Jeżeli chcecie strajkować, to proszę bardzo, ale ja chcę wiedzieć, jakie są powody”. I żeby przynieść mu to. Jak on wyszedł, to ja byłem jeden z pierwszych, który wszedł na krzesło, no i zaproponowałem, żebyśmy się rozeszli, wrócili do swoich działów, bo to przecież w biurze były podzielone działy, prawda i tam w samej firmie... Żeby działy poszły do siebie, spisały postulaty, dlaczego strajkują, wybrali po jednym, czy po dwóch przedstawicieli, żeby przyszli tu z powrotem na świetlicę, że trzeba będzie jakieś przedstawicielstwo... Ja jeszcze nie wiedziałem, jak to nazwać... Jakieś przedstawicielstwo strajku wybrać, żeby z tymi postulatami poszli do dyrektora w imieniu nas.

JG: Pamiętaj dlaczego wszedłeś na to krzesło?

RK: Nie.

JG: Taki impuls po prostu?

RK: Tak, po prostu.

JG: Nie miałeś wtedy poczucia, że coś może być dalej?

RK: Nie, nie. To żadnej świadomości ani żadnej polityki w tym nie było. Absolutnie. Tylko ja myślę, że chyba z tego mojego charakteru... To, co wcześniej wspomniałem, że też podszedłem do ludzi i prosiłem, czy tam kazałem... Nakazałem im się zdecydować. Albo idą do pracy, albo strajkują. Nie ma stania i plotkowania tu. Mamy pracować. Myślę, że tu było to samo, że jeżeli już strajkujemy, to trzeba podjąć następne decyzje i nie ma inaczej. Trzeba po prostu wykonywać to, co się zaczęło, bo takie rozmawianie o tym, co będzie, to do niczego nie doprowadzi. Z tym, że ja byłem, powiedzmy, poza tą grupą robotniczą, więc wybrano tam grupę, która poszła do dyrektora i złożyła te postulaty. I co ciekawe, jak później się okazało, w większości zakładów mniej więcej dwa punkty pierwsze się zawsze zgadzały. Pierwszy punkt był podnieść pensje o ileś, drugi punkt był zwolnić kadrową. To było w większości zakładów pracy. No i to był pierwszy dzień, w którym się nic nie działo. I w drugi dzień, przy inicjatywie MZK, Miejskich Zakładów Komunikacyjnych... No, bo oni pierwsi zastrajkowali. O piątej, czy tam któreś nie wyjechali, ani tramwaje, ani autobusy. I tam się u nich spotkaliśmy na takim już miejskim spotkaniu i tam powstał pierwszy raz komitet strajkowy w Elblągu. I wtedy wybrano przewodniczącego, Jan Wyrzykowski, już nie żyje, który był przewodniczącym komitetu strajkowego tych Zakładów Komunikacyjnych. I wybrano kilka osób, które miały jechać do Gdańska, złożyć deklaracje, że Elbląg jest z

Gdańskiem i ich decyzje w Gdańsku są... Obowiązują nas. Że my nie będziemy własnych decyzji podejmować. I wtedy ustaliliśmy, że siedzibą komitetu strajkowego będzie dworzec PKS w Elblągu. Dlatego że ZAMECH nie strajkował, największy zakład w Elblągu, który zatrudniał kilka tysięcy ludzi. I postanowiliśmy ten PKS. Dlaczego PKS? Dlatego że niezręczny punkt, bo dworzec kolejowy obok. Duży teren, czyli jakakolwiek akcja policji ma... Nie ma miejsc, gdzie się mogą ukryć, z daleka ich będzie widać. Po trzecie, obok był zaraz posterunek milicji, czyli gdyby coś się działo, to po tym posterunku można zauważyć. A po czwarte, dużo autobusów, czyli dużo miejsca, gdzie można spotkać się, pogadać, przespać się i tak dalej, tak dalej. I to była decyzja dlatego właśnie, że ten... Dworzec PKS. I nie pamiętam, chyba trzeciego dnia lub czwartego strajku, kiedy mieliśmy wieczorne spotkania w tym MKS-ie, Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym, się tak to nazywało, właśnie tam na dworcu PKS. I tego nikt nie kontrolował, każdy przychodził. Mogli przyjść ubeci, nie było żadnej kontroli. Przychodzili ludzie, przedstawiali się, z jakich zakładów i mówili, czy strajkują, czy nie strajkują. Mój przyjaciel, Ryszard Kozioł z Elbląga, który przychodził z ZAMECH-u i zawsze mówił „ZAMECH nie strajkuje”, i zawsze mówił „ja tu przychodzę prywatnie, nie jako przedstawiciel ZAMECH-u”. Ten znowu... „To dobrze, ale idź i powiedz im prywatnie, żeby zaczęli strajkować”. I trzeciego lub czwartego dnia ten Janek Wyrzykowski, przewodniczący, powiedział, że strajk w Zakładach Komunikacyjnych mu się łamie, co niektórzy chcą wyjeżdżać na trasę i nie da rady poprowadzić strajku w Elblągu. Wtedy właśnie mnie wybrano, jako przewodniczącego Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Elblągu.

JG: Ale strajk gdański się skończył i...

RK: Później było tak, że ja parę razy jeździłem do Stoczni, tam poznałem właśnie Wałęsę i innych ludzi, Andrzeja Gwiadzę, Lisa i tam Annę Walentynowicz, i tak dalej. I byłem też tego dnia, jak było podpisywanie. No, a w Elblągu mieliśmy też takich troszkę historii w czasie tego strajku. Mieliśmy na przykład problem z MPO, Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania, bo chodziło nam o to, żeby część wyjechała i przynajmniej przedszkola, czy tam szpitale, które nie strajkują, żeby im śmieci wywieźć, żeby do epidemii nie dopuścić. A oni tam nie za bardzo chcieli, czy nie potrafili zrozumieć, że jeżeli jeżdżą to wszyscy, a nie tylko niektórzy. Tego typu było. No i co było ciekawe przy tym... Umówiliśmy się w MPO, że przyjdziemy, jako przedstawiciele Komitetu Strajkowego wyjaśnić im, dlaczego prosimy, żeby niektórzy wyjechali. No i poszliśmy na to spotkanie. Ja poszedłem też, no i mówiliśmy, w czym rzecz jest, że jeżeli nie chcą, to niech pozwolą pożyczyć nam ich śmieciarki, bo my mamy kierowców, będą chętni, którzy pójdą z tyłu na stopień i pozbierają te śmieci. Tylko żeby po prostu te śmieci wywieźć, żeby nie dopuścić do konsekwencji, których nikt sobie nie życzy, bo to są ich też rodziny, bliscy, którzy pracują w tych miejscach. I wracając z MPO w ulicy, gdzie tylko były stare bloki i mały chodnik, zatrzymał się gazik milicyjny. I usłyszałem tylko „Rysiek, siadaj”. I ja do tego gazika wskoczyłem, a w gaziku siedział kolega, który ze mną do technikum chodził, milicjant. Ale on wtedy nie był jeszcze tym takim rasowym milicjantem, on został do tej... ZOMO powołany. A oni po wódkę jechali. Mieli słoik ogórków kiszonych ci milicjanci i jechali gdzieś wódkę sobie załatwić, bo im się nudziło. I co się wydarzyło? Ja... To są takie... Tam, później jak będę opowiadał, to będzie więcej takich rzeczy, że... Tak był człowiek spięty w czasie strajku i później, jak był stan wojenny, że nie zawsze logicznie myślało się. Że robiło się rzeczy kierowane odruchem. I to było w tym przypadku też, ja nie pomyślałem, że ja wsiałam do gazika milicyjnego. Że to ktoś jeszcze może zobaczyć. W tamtym czasie to nie było ryzyko, że ktoś mnie będzie posądzał, że ja jestem współpracownikiem. Ale co się wydarzyło później. Szybko doszła informacja do Komitetu Strajkowego, że mnie milicja zamknęła. A oni mnie tym

gazikiem i tak podwieźli tam prawie pod ten dworzec. No, ale musiałem się wytłumaczyć, dlaczego tym gazikiem jechałem. I to mnie nic nie nauczyło, ja ten sam błąd później popełniłem w Ławie podobny, i później za czasów „Solidarności” też. No, ale nie zawsze człowiek myśli logicznie, jeżeli jest duże napięcie, duży stres.

JG: Strajk się skończył, porozumienia w Gdańsku podpisano, a w Elblągu?

RK: Właśnie w Elblągu w czasie trwania strajku w Stoczni przyjechał oczywiście komitet z Warszawy i oni się zakwaterowali w komitecie wojewódzkim. Co ciekawe, nigdy nam nie odcięto linii telefonicznej. I jak w czasie strajku dzwonił telefon, to ja zawsze się przedstawiałem: „Ryszard Kalinowski, przewodniczący”. Uważałem, że tu nie ma żadnej tajemnicy, że jeżeli ubecja będzie chciała wiedzieć, to w taki, czy w inny sposób się dowiedzą, dlatego że myśmy tych wieczornych spotkań nie kontrolowali, kto przychodzi. No i wtedy przyjechali, i oni chcieli z nami rozmawiać. My mówimy, że tak, bardzo chętnie, mogą przyjść, wsiądziemy w autobus i jedziemy do Gdańska i tam sobie... No, to nie... Oni... To my z nimi też nie chcieliśmy w ogóle rozmawiać, twierdząc, że my zadeklarowaliśmy się, że wszystkie postanowienia będą podjęte w Gdańsku. Nie będzie żadnych regionalnych, małych porozumień. No i jak się skończył strajk w Gdańsku, no, to z tego MKSu powstał... Powstawały MKZy i to była dość... No, nie dość... To była mocna, ciężka praca w tamtym czasie. Dlaczego? Dlatego że proszę sobie wyobrazić: Większość z nas była zwykłymi robotnikami, gdzie na słowo „kadrowa” albo „dyrektor” to się ręce... Dłonie się pociły. A później w krótkim czasie, tygodni, było trzeba rozmawiać z wojewodami, z prezydentami miasta. Nie wiem, jak w innych terenach Polski, ale w Elblągu myśmy długo odmawiali spotkania z komitetem wojewódzkim, twierdząc, że to jakaś tam partia, to niech sobie robią... Dla nas władza to jest wojewoda, prezydent. Partia to tam... To jest taka malutka, to tam niecałe dwa miliony, jak my tu już mieliśmy prawie sześć, czy siedem, później dziesięć milionów. No, a później, jak już powstała krajówka, to jeszcze wyżej, bo trzeba było z ministrami i z premierami rozmawiać, tak, że to... To było dość... Bardzo krótki okres, przezwyciężyć własne bariery, własne jakieś takie stare naleciałości, a do tego rozsądnie podejmować decyzje, rozsądnie współpracować, żeby to... Bo doprowadzić do wojny domowej, to żadna sztuka, prawda, ale doprowadzić do takiej sytuacji, żeby uzyskać jakieś kompromisy, jakieś układy z tą władzą, jaka by nie była, ale to była wtedy władza i z nią trzeba było po prostu rozmawiać.

JG: A co robiłeś po rejestracji Związku?

RK: Jak powstawały MKZy... To było normalne, kiedy skończył się strajk, w całej Polsce zostały podpisane porozumienia, więc... No, my z Elbląga, to oczywiście nie ma problemu, to bardzo krótko do Gdańska, żeby dojechać i się spotykać tam. Ale zaczęła cała Polska zjeżdżać na te spotkania. I mieliśmy w Elblągu taką... Dwóch doradców, którzy byli z wykształcenia prawnikami prawa pracy. I między innymi oni... Z nimi ustaliliśmy, że trzeba powołać wspólny organ... Taką jakąś... Nikt nie wiedział, jak to nazwać, jakąś taką krajową komisję. Bo to nie może być tak, że są komisje, Międzyzakładowe Komitety Założycielskie w regionach, że się spotykamy w Gdańsku, ale nie ma takiej... Czapki. No i z tym, żeby to nie była władza, ale jako organ reprezentujący do władz. Jak my przyjechaliśmy z tym do Gdańska, to się okazało, że ci doradcy jakby krajowi, Modzelewski, Geremek i mecenas Olszewski... I do tego była... No, z godzinę siedzieliśmy u góry, w pokoju, właśnie ta Małgorzata Świerczyńska z Elbląga, prawnik i obydwaj Kaczyńscy, bo oni byli też prawnikami. I tam uzgadnialiśmy ten... Stworzenie tej krajówki jakby. Jak to prawnie, jak to poukładać. I wtedy na krajówce przedstawiliśmy ze strony Elbląga właśnie to powołanie tego organu. Co później było tak, że jak już wybierano władze, no, to właśnie wybrano Wałęsę, jako

przewodniczącego, Andrzeja Gwiazdę, jako wiceprzewodniczącego i mnie, Ryszarda Kalinowskiego, jako wiceprzewodniczącego i resztę prezydium z poszczególnych regionów.

JG: Czy był taki moment, w którym poczułeś, że coś ci grozi albo Twojej rodzinie?

RK: Nie, do czasu stanu wojennego nie. Ale w dzień 12 grudnia był... Odbывał się zjazd regionu elbląskiego. Ja wtedy musiałem się stawić na komisję lekarską. I kiedy wróciłem, no, to koledzy powiedzieli, że przyszły telefaksy, to się tak nazywało wtedy... Telefaksy z Olsztyna i z Gdańska. W jednym była mowa o rozkazie wyprowadzenia wojsk ze swoich jednostek, a w drugim, że komendy wojewódzkie otrzymały dwie koperty, z czego jedna jest zalak... Zalakierowana i ma być otwarta na jakieś tam hasło. I wtedy, jak ja wróciłem na to posiedzenie regionu, poproszono mnie, żebym zabrał głos. To, co ja pamiętam, powiedziałem po pierwsze, żeby się ludzie nie bali, że nas jest dziesięć milionów plus rodziny, to jesteśmy trzydzieści milionów, więc spokojnie. A chodziło mi o to, żeby nie... Nie podgrzewać jakiegokolwiek paniki. A moja świadomość wtedy była taka, że ja wiedziałem, że jeżeli przyszedł rozkaz wyprowadzenia wojsk z jednostek, to znaczy, że Układ Warszawski ma wejść. A jeżeli chodzi o te koperty zalakierowane... Coś pachniało w powietrzu, dlatego że my dużo razy rozmawialiśmy w krajówce, czy w Gdańsku, że jeżeli komuniści cokolwiek wprowadzą, to wprowadzą to w nocy z soboty na niedzielę. Dlatego żeby w niedzielę propaganda mogła zrobić to, co powinna, ubecja też, a w poniedziałek ludzie przychodzą do pracy i są jakby już w pewnym sensie nastraszeni, już poukładani przez propagandę, że nie będą tak bojowo nastawieni, jak byliby w środku tygodnia. I wtedy, pamiętam, tego wieczoru zastanawiałem się, co się wydarzy, że prędzej, później i tak mnie zamkną, bo to już taka... Ta fala tej agresywności ze strony władzy była coraz wyższa, powiedzmy...

JG: Miałeś takie poczucie, że to nieuniknione, że cię zamkną?

RK: No, właśnie dwunastego grudnia, bo pamiętam leciał film w telewizji polskiej o jakimś... To był włoski anarchista jakiś, coś takiego, tak, że dostał dożywocie i siedział sam w celi w więzieniu i zaczął podejmować tematy, żeby mówić, żeby nie zapomnieć mowy, żeby coś na ścianie pisać, żeby nie zapomnieć pisma. I wtedy ja zacząłem zastanawiać się, jak ja się będę zachowywał w więzieniu. Jak ja sobie dam radę. Bo przecież do tego dojdzie, prędzej, czy później. I pamiętam, o godzinie... Nie powiem dzisiaj, że to była godzina dwunasta, ale mogę tak wnioskować. Była godzina dwunasta, film się skończył, takie szszsz... Sobie myślę, popili czy jak? Im się w telewizji program urwał. I długo nie trwało, usłyszałem, że... Że na dole, bo mieszkaliśmy na pierwszym piętrze... Że na dole podjechał fiat... Dlaczego fiat? Po trzaskaniu drzwi, bo wtedy było tyle samochodów, że mógł człowiek zapamiętać. Jak się zna sąsiadów, jak chodzą po schodach, tak się znało po trzasku drzwi, jaki to samochód. No i słyhać kroki, że to męskie, do góry. A mieszkanie nasze miało dwa wejścia. Jedno do kuchni, do pokoi, tam mieszkała babcia z teściową i drugie do pokoju takiego dużego, w którym my mieszkaliśmy. Ale między tymi były drzwi, które były nieużywane. Tak, że mieliśmy jakby swoje wejście z taką małą kuchnią. I ja pomyślałem tak, że jeżeli przyjdą, to pójdą tam pukać pod drzwi, babcia się będzie z nimi droczyć, bo ich w nocy przecież nie wpuści, a jak już ich wpuści, to oni wpadną szybko do domu, będą myśleli, że to jest przygotowywane, żebym ja uciekł. Wtedy ja mam szansę przynajmniej wziąć ciuch w rękę i iść piętro wyżej, odczekać. Dlatego że te drzwi były szklane. Ja mogłem widzieć, co się dzieje przed wejściem. No i rzeczywiście, jak oni... Babcia się z nimi droczyła, jak oni... Babcia już ich wpuściła, to oni wpadli. Było dwóch mundurowych i dwóch cywili. I ja wtedy byłem... Trzymając odzież w ręku byłem gotowy,

żeby wybiec i wtedy sobie pomyślałem: Ale dokąd? Przed samym sobą? W tym kraju, w tym państwie, gdzie ja się...? Bez sensu całkowicie. No i się wróciłem. Zacząłem się ubierać. No i tu się okazał charakter teściowej, która oczywiście zamiast powiedzieć „nie ma, poszedł, wróci”, to „nie, nie, to proszę iść tędy”, tak, że ich przyprowadziła. I wtedy nie pokazano mi nic, ani... Powiedziano mi, że tylko... Nie, pokazano mi nakaz aresztowania i doprowadzenia, a nie pokazano mi nakazu internowania. Bo przecież my byliśmy... Wiedzieliśmy, jak nakaz aresztowania ma być wypełniony, że jakby braki, to można im powiedzieć, żeby sobie przyszli jutro i tak dalej.

JG: Dokąd cię zabrali?

RK: W Elblągu właśnie na komendę ZOMO. I to było bardzo ciekawe, dlatego że ja mieszkałem na tej samej ulicy... Nazywała wtedy Armii Czerwonej, obecna Królewiecka w Elblągu, na której mieściła się komenda wojewódzka. A wieźli mnie w przeciwnym kierunku i koło poczty głównej w Elblągu zobaczyłem czołg stojący. Zapytałem się „panowie, wojna?”. „Dowie się pan na miejscu”. No, ale mówię „dokąd my jedziemy?”. „Zaraz się pan dowie”. Rzeka Elbąg, my nazywamy to Kanał, trzeba jechać za Kanał i tam była ta jednostka ZOMO, w kierunku wyjazdu na Gdańsk. No i tam nas przywieziono, i po kolei. No i zrozumiałem powagę sytuacji, kiedy wszedł mój dyrektor firmy. Bo on bardzo z nami współpracował, my mieliśmy pierwszy samochód związkowy w Polsce w ogóle, dostaliśmy od dyrektora, zastawę, którą wymalowali na... Wszędzie, na bagażniku... Bo to wtedy... Bardzo ciekawa rzecz, o której ja nigdzie nie widziałem w dokumentach historycznych. Że w pierwszej fazie nie było Związku Zawodowego „Solidarność”, były Niezależne Samorządne Związki Zawodowe „Solidarność”. Dopiero później, po powstaniu Komisji Krajowej, nazwa się zmieniła na Niezależny Samorządny Związek Zawodowy. A przedtem były właśnie Niezależne Samorządne Związki Zawodowe. Tak, że od niego dostaliśmy samochód, on nam pootwierał drzwi do innych dyrektorów firm, którzy nam dawali różnego rodzaju sprzęt, kiedy otrzymaliśmy lokal od prezydenta miasta na MKZ. Tak, że on był bardzo pomocny. I chyba za to został też internowany. Później z nim siedziałem pod jedną celą nawet, w ławie. No i tam ciekawostka taka, że jak już nas zapakowano w ciężarówkę, żeby nas zawieźć, to dopiero ci zomowcy... Wchodzą do ciężarówki, zabezpieczyli ostrą, znaczy długą broń, znaczy kałasznikowy. Czyli mieli cały czas przygotowaną do strzału. No i nas wieźli tą ciężarówką do transportu więźniów. Ona miała tylko okienko u góry, czyli można było lampy... To w nocy, śnieg padał. Ale że było dużo kierowców, to znaleźmy drogę po zakrętach, po dziurach nawet. Jak w Starym Polu ta ciężarówka skręciła w lewo i ktoś tam powiedział „jak będzie teraz przejazd kolejowy, to jesteśmy w Starym Polu i jedziemy w stronę Dzierzgonia”. I rzeczywiście, przejechaliśmy... Byliśmy pewni, że jesteśmy w Starym Polu. No, więc ktoś powiedział „no, to jedziemy do ławy, do więzienia”. A na dokumentach, kiedy mi pokazano na komendzie nakaz internowania, to były skreślone Bartoszyce. To było więzienie, w którym był bunt krótko przedtem. Później, z tego wszystkiego był wniosek, że po prostu bunt został sprowokowany po to, żeby oczyścić więzienie ze skazańców, przygotować dla nas. A że bunt poszedł poza kontrolę, więc musieli przygotowywać inne miejsce. I wtedy w tej ciężarówce wstał taki pan, który się nazywał Jakub Alabudziński, to był emerytowany pracownik zakładów odzieżowych w Elblągu i on powiedział, że on siedział w więzieniach w Polsce, przed wojną, nie pytać się za co, ale jakie są zasady, jakie są warunki w więzieniu, żeby to przestrzegać. Ja byłem drugą osobą, która wstała w tej ciężarówce, powiedziała, że jedziemy do ławy, może to być więzienie w ławie, ale mogą to być lasy ławskie. Jeżeli ciężarówka zatrzyma się w lasach, każą nam wysiadać, to znaczy, że będą chcieli nas likwidować. Znaczą, jeżeli pójdziemy jak owce, to nas wytną wszystkich. Ale jedno, co możemy zrobić, to żeby uciekać na wszystkie strony, jak się da. Jeżeli jedna osoba

ocaleje, to będzie świadek historii. Jeżeli nikt nie ocaleje, to nikt się nigdy nie dowie, co się z nami stało. Dlatego że mi się przypomniał Katyń. Ta sama władza, ten sam system.

JG: Dokąd dojechaliście?

RK: Dojechaliśmy do Ławy i tam nas, po wielkich awanturach, bo zasady w Polsce były takie, że w nocy nie wolno więzienia otwierać, tak, że musieli komendanta ściągnąć, żeby dostał te wszystkie rozkazy. I nas wwieziono, i nas uplasowano w... Oddział czwarty, to był karny oddział, gdzie taboret, łóżko, wszystko było wbetonowane w podłodze, I tam dostaliśmy po jakimś czasie pierwszy posiłek, który śmierdział. Taki był niedobry! Ale musieliśmy coś zjeść po tylu godzinach, że myśmy zatrzymywali oddech, trochę do zjedzenia i... Aby trochę, trochę gorącego. No, więc takie były pierwsze chwile w tej ławie.

JG: Ilu was tam przewieziono?

RK: Nie wiem. Ja na swojej stronie internetowej mam listę internowanych, ale tam sam nie wiem, nie pamiętam liczby.

JG: Co było dalej?

RK: No i nas rozłożono na trzy oddziały, ja byłem akurat w środkowym, cela numer 14, między innymi właśnie razem z moim dyrektorem. Andrzej Stojek, Przedsiębiorstwo Budowlane. Co się wydarzyło z ciekawych rzeczy? Z ciekawych rzeczy, pierwsze było... Pan Jakub Alabudziński miał duże problemy z przepukliną. Kiedy go aresztowano nie pozwolono mu wziąć pasa na przepuklinę, tak, że on tam biedak cierpiał. Któregoś dnia nas... Bo musieliśmy wyjść z celi, stanąć w dwuszeregu i wtedy wychodziliśmy na spacer. Pan Jakub żalił mi się, więc ja powiedziałem „no, Jakub, nie idź na spacer, idź pod celę, z powrotem i umieraj. To jest jedyna szansa, żeby cię stąd wycią... Nie ma innej”. I on to zrobił. Poszedł, położył się, tak się źle czuł... To było takie jedno wydarzenie z Ławy. Później była druga taka osoba, Ryszard Demel, on miał tam jakieś, coś... Jego syna powołano do ZOMO, wysłano go na Śląsk i chyba jak była kopalnia „Wujek” tam coś się z tym synem jego działo, tak, że on to bardzo przeżywał. I myśmy też go, na tej samej zasadzie... „Masz się położyć i umierać na... Zawał serca, cokolwiek”. Bo wiedzieliśmy, że komuniści nie chcą wziąć odpowiedzialności, że ktoś im zmarł w więzieniu. Zawołali lekarza i przyjechali lekarz z pogotowia i chłopak, student medycyny. Z tym, że ten lekarz był... Było czuć od niego alkohol i był bardzo prokomunistyczny, a znowu ten młody student był antykomunistyczny. Prawie się pobili wtedy. Ale tego Ryśka zabrano z Ławy... Procedura była prosta, z Ławy do szpitala więziennego i po kilku dniach do domu. Znaczący, oni już nie wracali z powrotem. W styczniu, jeżeli dobrze pamiętam, przyjechał biskup [Jan] Obłak, który był biskupem Warmii i Mazur wtedy i to już był osiemdziesięciokilkuletni pan. Dostał zgodę i przyjechał nas odwiedzić. W tej delegacji był jeden z księży, który był z nami w Rzymie u papieża, w 1981 roku, w styczniu. I on mi przekazał wtedy gotówkę, pieniądze na pomoc dla pozostałych więźniów. Dlatego że system więzienny jest taki, że nie wolno posiadać zegarka, gotówki, ale można robić zakupy w sklepie więziennym, to się nazywa tak zwana wypiska. Dostaje się kartkę, na której są wypisane artykuły, które są w sklepie i suma, jaką ma się na koncie w więzieniu. I później w sklepie sklepowa zaznacza, co się wzięło i tyle jest odciągane z tego konta. I był porucznik penitencjarny... Nie pamiętam imienia, Paluszewski się nazywał, na niego „Paluch” wołaliśmy, był bardzo świetny do grania w pingponga, nie było mocnego. On potrafił wziąć zeszyt i dokładał nam wszystkim jak mieliśmy paletki. Tak, że naprawdę był dobry. Ale był na tyle... Co było z nim ciekawego... Przychodził do nas pod celę, nie wiem, ze

względu na to, że ja siedziałem, czy że razem z dyrektorem i zawsze podejmował tematy. I on był też właśnie prokomunistyczny, jak to „<Solidarność> zniszczyła tę największą, najwspanialszą gospodarkę świata w ciągu jednego roku” i tak dalej. I pewnego czasu przyszedł i był taki jakiś... Ja się go zapytałem, czy coś się wydarzyło. Okazało się, że jego żona była z wykształcenia nauczycielką i w szkołach było trzeba podpisać lojalki, i ona nie podpisała. I ten człowiek zrozumiał wtedy, pierwszy raz, że nic nie zrobił przeciwko systemowi, a jednak i tak został mniej, czy więcej, pośrednio, czy bezpośrednio, został ukarany. Że poznał smak tego systemu. I chłop jakby się troszkę zmienił. Wtedy on... On ode mnie... Aha, bo ja miałem te pieniądze cały czas. I ciągle miałem jakieś takie różne pomysły, które przekazywałem kolegom. Pierwszy mój pomysł był taki, że... Żeby skruszyć klawiszy, to więc na spacerze poprosiłem, żeby rozmawiali z klawiszami w ten sposób, że „prędzej, czy później przyjdą Ruski i na pewno nas zlikwidują, ale was, klawiszy, jako świadków też”. To trochę rzeczywiście klawiszy zmieniło, [dało] jakby do myślenia. Był też taki mój pomysł, że od momentu, kiedy nas przywieziono nic się nie działo, więc ja twierdziłem, że jest to niemożliwe, muszą być rewizje. Albo robią to, jak my jesteśmy na spacerze, albo lada dzień będzie duża akcja zrobiona. I wtedy co wymyśliłem: Że w każdej celi jest tak zwany dyżurny. Dyżurny robi kanapki ze smalcem, bo to mieliśmy do jedzenia, dyżurny dba, żeby było czysto w celi, dyżurny robi nam herbatę i tak dalej. Ale jak jest spacer, to dyżurny zostaje w celi, nie wychodzi. Przypadło na mnie tego dnia. I zostałem w celi, czytam książkę, otwierają się drzwi, przychodzi tak zwana atanda, w ubraniach ten... I każe mi wyjść. A mnie jak brano w Elblągu w stanie wojennym, aresztowano, to ja się zapytałem, na jak długo, czy tam... „Nie, nie, pan tam zaraz wróci”. Ja mówię, „panowie, no, jeżeli trzeba, to wezmę szczoteczke, czy jakieś...”. „Nie, nie, pan zaraz wróci”. I ja założyłem buty... Lekkie buty, mokasynki z dziurkami, tak, że jak byliśmy w tej ławie to było bardzo zimno i od więźniów, których nazywano w grypsie „kajfusi”... To byli więźniowie, którzy współpracowali ze służbą więzienną, żeby skrócić sobie wyrok odsiadania. Oni mogli mieć cele otwarte, mogli mieć zegarek, lepsze takie warunki. Ale pisali raporty, tak, że znowu to był bat na klawiszy, na tych pracowników więziennictwa. Ja od nich za paczkę papierosów kupiłem buty, takie robocze z blaszkami na przodzie. Jak przyszli, kazali mi opuścić celę, bo będzie rewizja, więc ja położyłem taborety na łóżka i założyłem te buty i jak oni znowu przychodzili, to ja stałem między łóżkami i mówiłem „jeżeli panowie chcecie przeprowadzić rewizję, to proszę bardzo, to jest moje łóżko, tu są moje rzeczy osobiste. Resztę to jak koledzy wrócą”. I wszedł ten porucznik penitencjarny, i też ze mną rozmawiał. Ja mówię „panie poruczniku, tak z kolegami się umówiłem i tego będę trzymał. Tu są moje rzeczy, to jest moje łóżko, proszę bardzo. Resztę, jak koledzy wrócą”. I okazało się, że na całym oddziale trzy, czy cztery cele tak nie pozwolili na rewizję. Ale za kilka dni... Akurat poprosiłem iść pod celę numer 1, do Darka Brzozowskiego, mieliśmy w brydża grać. I nie zdążyliśmy jeszcze usiąść do brydża, więc przyleciał ten porucznik penitencjarny i mówi „panie Ryszardzie, bardzo proszę powiedzieć ludziom, żeby nie prowokowali, dzisiaj nie ma żartów. Ja pana zaprowadzę z powrotem pod celę”. Jak wyszedłem na korytarz to połowa korytarza z dwóch stron ludzi, ubranych na szaro, z dość ciekawym wyrazem twarzy. Tak jakby posągi, jakby nie reagowali na ruch, co się w ogóle dzieje. Ja byłem przekonany, że to jest „ścieżka zdrowia”, która była znana z lat... Z grudnia 1970 roku, ale nikt mnie nie uderzył, tak, że wróciłem z powrotem pod swoją celę, wrócił ten porucznik penitencjarny, przyszedł ze mną. I on wiedział, że ja mam pieniądze, bo co tydzień, jak była wypiska, to ja dost... Miałem listę, kto nie ma pieniędzy na koncie i dawałem jemu pieniądze, i on wtedy leciał do kasy, i wpłacał, tak, że trzeba przyznać porządny klawisz. I wtedy on wszedł ze mną pod celę, otworzył kieszonkę, nic nie

mówiąc, ja wiedziałem, o co chodzi, żebym mógł włożyć mu te pieniądze. I rzeczywiście mu włożyłem te pieniądze, tak, że one nie przepadły. No i wtedy... Wtedy była już rewizja naprawdę. Ale on... On później te pieniądze miał i on dostawał od nas tą listę, chodził, wpłacał, tak, że to było trzeba przyznać było pozytywne.

JG: Jak długo byłeś internowany?

RK: W kwietniu wróciłem. Jakoś tak było po świętach wielkanocnych. Do pracy nie wróciłem, dostałem od razu pieczętkę „zwolniony z pracy” i pieczętkę w dowodzie osobistym, „zakaz podjęcia pracy w sektorze państwowym”. Wtedy to... A znowu, znałem ludzi, którzy prowadzili prywatne jakieś tam warsztaciki i oni bardzo chętnie, by mi pomóc, ale ja ich rozumiałem i szanowałem za to, dlatego że oni mówili „jak my cię przyjmujemy to nas po prostu niszczy, no. Czasami możemy dać jakieś pieniądze, żeby ci pomóc, ale nie możemy cię przyjąć do pracy, bo po prostu nam... Zamkną nas”. Nawet spółdzielnie, które były, też, komunistyczne, to nawet w tych były przypadki, że dogadałem się, miałem przyjść tam któregoś dnia na siódmą do pracy, przychodzę rano i przychodzi prezes, mówi „panie Kalinowski, przepraszamy, ale nie możemy, nie możemy pana przyjąć”. Ale w tym czasie, jak ja byłem w ławie, to w Elblągu mieszkał Edmund Krasowski. To jest młodszy brat mojego kolegi ze szkoły, Andrzeja Krasowskiego, chodziliśmy razem do... Całą szkołę podstawową. I Eda zajmował się już wtedy podziemiem. Tak, że jak ja wróciłem z ławy, to z... Krótko mówiąc z Edą uzgodniliśmy tak, że on prowadzi cały czas dalej to podziemie, a ja przygotowuję... Przygotuję przede wszystkim drukarnię i strukturę podziemną, zapasową jakby, rezerwową. Że gdyby on wpadł albo jego struktury, to ja następnego dnia mogę wydać bibułę, udowadniając ubekom, że źle trafili, bo o to chodzi, żeby tych ludzi uratować, w ten sposób. No, nie można było w tamtych czasach przynieść na rozprawę sądową dokumentu, czy dowodu, które mówiły o niewinności ludzi, prawda. Wszystkie procesy, które były robione tam w tym, w Polsce, to były z góry zaplanowane i sztuka polegała na udowodnieniu, że się jest niewinnym, a nie sądu udowodnienia, że jest się winnym. Nie pamiętam jak poznałem takiego pana, nie pamiętam nawet jego nazwiska... A to dlatego, że to było w trakcie budowy struktur podziemnych. Raczej używano pseudonimów aniżeli imion prawdziwych, czy nazwisk. I ten pan to był emerytowany oficer AK, ja na niego wołałem „Wuja” i tak był on, takim pseudonimem określany. To był bardzo sympatyczny... I on mnie uczył zasad budowy struktur podziemnych. Naprawdę, ja się od niego dużo nauczyłem. Przykład jest taki, jak zainstalowano u nas w domu, w mieszkaniu na parterze w suficie, czyli pod naszą podłogą, podsłuch.

JG: To już w innym mieszkaniu?

RK: Te to samo mieszkanie, w którym mnie aresztowano. My mieszkaliśmy na pierwszym piętrze, na parterze... Dostaliśmy pokój od Ewy babci, który miał wymiar pięć na pięć, czyli dwadzieścia pięć metrów kwadratowych, po części był przedzielony segmentami, żeby z tyłu Kasia miała swoje jakieś tam miejsce, reszta była dla nas. I taki sam pokój był na dole, na parterze. Ten pokój na parterze właścicielka wynajęła starszej pani, która prowadziła zakład wieńców i wiązanek. Nie wiem, na jakich zasadach, dlaczego, mogę tylko domyślać się, bo ta pani starsza za jakiś czas po drugiej stronie ulicy dobudowała mały sklepik do bloku, więc się przeniosła. Czyli prawdopodobnie kiedy poszła składając dokumenty o zgodę, to wtedy ją wykorzystano do... Do współpracy. I jak ona miała ten zakład, to prawdopodobnie w tym czasie zainstalowano ten podsłuch pod naszą podłogą. Jak ona się wyprowadziła z tego... Ja nie wiem, jak długo był ten podsłuch, ale ten Wuja mnie uczył zawsze, że to nie sztuka, że ubecja wie, sztuka, żeby wiedzieć, co się mówi. Bo można mówić rzeczy po to, żeby ubecja wiedziała.

JG: Jak się dowiedziałeś, że w mieszkaniu jest podsłuch?

RK: No, właśnie, jak ta... Ta pani, Galopowa się nazywała, wyprowadziła się, to syn tej właścicielki, która też była starszą panią przyszedł i poprosił, żeby przyjść, i pokazał. Bo to było bardzo prymitywne. To proszę sobie wyobrazić, taki sam sufit biały, jak tutaj, tylko że jest przez lata niemalowany, do tego jest prowadzona tam jakaś działalność, czyli jest dużo więcej kurzu i instalacja, która jeszcze stara, natynkowa. A ta ściana, już zewnętrzna, był przewód i puszka telefoniczna, czyli oni ... Z tej puszek przeszli jakby do wewnątrz mieszkania i pod tą instalacją elektryczną, która była natynkowa przechodzili, ale od ściany i do sufitu, czyli był punkt i tam, gdzie wiercili, zamazali i to było widoczne. I on mi to pokazał, i później było widać, że jest założony podsłuch. No, więc, jaka moja była reakcja? Zniszczyć, to była reakcja. I wtedy wymyśliłem, że muszę postarać się o stary transformator, który lekko rozkręcę i jak będę chciał, żeby w domu coś pogadać, porozmawiać, to po prostu podłączę i te blaszki będą [klaszcze] brzęczeć, i oni nie będą słyszeć. I z tym dobrym moim pomysłem poleciałem do Wuja się pochwalić. No i tak, jak się pochwaliłem, tak zaraz dostałem zimny prysznic. Co on mi wtedy powiedział: „Agentów się nie likwiduje. Z agentów się korzysta”. No i właśnie chodziło o to, że wpięram musiałem sprawdzić, czy ten podsłuch nadal jest używany, więc wymyśliłem coś takiego, że powiedziałem Ewie, żeby przygotowała kanapki, że przyjdą koledzy, że będziemy sobie uzgadniać, jakie następne artykuły do bibuły pójdą i może przyniosą, to będziemy od razu bibułę, czyli ulotki od razy produkować. I rzeczywiście, trwało może godzinę, mieliśmy już w domu wydział czwarty, który przyszedł mnie właśnie aresztować chyba i myślał, że jeszcze kolegów.

JG: Z czego żyliście w tym czasie?

RK: W tym czasie... No, więc tak... Mieliśmy dość dużą pomoc ze strony Kościoła, od księdza Józefczyka, a ja zarabiałem tak, jak to się mówi dzisiaj, na czarno trochę. Gdzieś tu, trochę tam, żeby parę groszy. No i dużo od przyjaciół, od znajomych. Mieliśmy ludzi... Znajomych, którzy mieszkali na wsi, więc oni, na przykład jak bili świniaka, jak to się mówiło w Polsce, to przyjechali zawsze tam z jakąś częścią mięsa dla nas. No, jakoś tak na zasadzie... To, co ja powiedziałem w Ławie, po przemówieniu Jaruzelskiego, że niepotrzebnie Jaruzelski wprowadzał stan wojenny, bo gdyby nam zabrał znajomości, to by się wszyscy poddali. Tak Polska wtedy funkcjonowała, że na znajomościach. Nie nazywano to może przyjaźnią, czy koleżeństwem, ale znajomością. Że pani Kasia to była od kawy, pan Zbyszek to od części samochodowych. I tak dalej, tak dalej. Przy dużej pomocy znajomych, rodziny, mogliśmy, oczywiście nie luksusowo, ale żyliśmy.

JG: Chciałbym pomówić o tym czasie, który poprzedzał twój wyjazd. Co wtedy robiłeś?

RK: Aha. No, bo to było tak, że w końcu Edka Krasowskiego zamknęli, jako tego działacza, czy szefa podziemia elbląskiego. No i to wszystko, co my z Edem przygotowaliśmy, to się wszystko sprawdziło, bo dwa dni po jego aresztowaniu ukazała się znowu ulotka w Elblągu tej naszej gazety. I to na pewno ich zdezorientowało. Więc ubecja zaczęła szukać dalej, więc jak mnie brano na komendę, na przesłuchanie i zamykano, na przykład na dwadzieścia cztery, czy czterdzieści osiem godzin, to przy tych rozmowach ja zawsze, jak się pytali, kto w Elblągu jeszcze, to ja zawsze mówiłem „ja”. „Panowie musicie mieć dowody, więc oni zaraz czym prędzej mówili, że prędzej, czy później znajdą te dowody. No, ja mówię, „jak znajdziecie, to bardzo chętnie”. I ta zabawa w kotka i myszkę trwała. Trwała do momentu, myślę, dopóki już miarka się przebrała w tych żartach i kiedyś zabrano mnie z miasta, wywieziono za Elbląg w stronę

Braniewa, taką starą autostradą niemiecką, która miała być do Królewca, Berlin – Królewiec. I tam było dwóch uboli w tym samochodzie, jeden taki właśnie Gordon, który mnie tu zawsze przesłuchiwał, porucznik i drugi jakiś jego szef, nie pamiętam tego gościa. No, dostałem pytania, kto... Te same pytania, kto w Elblągu szefuje. Więc ja mówię, że ja. „No, a czy nie Krasowski?”. Ja mówię „nie”. Mówię „źle trafiliście, ja kieruję, tylko po prostu, no...” tak mówię, „jak będziecie mieć dowody, to...”. Ten... Ten drugi facet wyciągnął pistolet, przystawiając mi do czoła. Ale gość popełnił błąd, bo później pokazał mi notes. To był wąski notes z klejonymi kartkami u góry. I pokazał moje nazwisko na tej kartce, i powiedział, że on wiedział, proszę bardzo. A ja poprosiłem, żeby mi pokazał ten notes, bo jest ciemno. Jak on mi pokazał, to ja puściłem kartki, to leciało, na każdej kartce było jedno nazwisko. Czyli wiedziałem, że mnie straszą, że blefują, ale nie wiedziałem, jak to się może skończyć. Tak, że mnie tam później wywalili z tego samochodu i ja do rana tam przy tej autostradzie przesiedziałem, bo się bałem, że jak będę szedł do domu, że może mnie jeszcze jakiś samochód potrafi, czy po prostu coś takiego... Tak, że wróciłem. Ale na czym polegała rzecz? Rzecz polegała na tym, że ja się skontaktowałem z Ryśkiem Kozłem i poprosiłem, żeby on porozmawiał z kolegami, że może lepiej, żebym ja wyjechał. No, więc odpowiedź była, że nie, absolutnie. A później stało się tak, że mnie aresztowano na dwadzieścia cztery, czy czterdzieści osiem, puszczano mnie do domu, jak ja szedłem do domu, to mnie zabierano, zawożono mnie na następną komendę. I tak na przykład trwało tydzień. Ale Ewa, moja żona, jak szła po czterdziestu ośmiu godzinach na komendę i pytała się, co się stało, czy mam na przykład nakaz aresztowania, czy co tego... No, to oni zawsze „nie, proszę panią, przecież on już dwa dni temu poszedł, jak gdzieś wytrzeźwieje, to wróci z bab, czy tam z tego”. No i to zaczęło... To powodowało, że ta struktura podziemna po prostu nie zawsze funkcjonowała jak powinna i co się... Jaki mógł być wynik? Mógł być wynik, że trafiają, że za każdym razem, jak ja jestem długo zatrzymany, to się nic nie dzieje, czyli są już blisko. I wtedy Rysiek przyszedł do mnie, i mówi, że podjęli decyzję, że lepiej, gdybym... Jeżeli ja wyjadę za granicę i będę im pomagać, jeżeli muszą od nowa budować struktury i pomagać mojej rodzinie, jak ja będę siedzieć, bo wtedy... Jeżeli pamiętasz, to był sąd wojenny w Gdyni, Marynarki Wojennej w Gdyni, który ile mógł, tyle dawał. Soboń dostał za jedną ulotkę przecież sześć lat. No i... i wyjechaliśmy. Ale dlaczego do Stavanger? Dlatego że tutaj w Stavanger grupa osób, Tadeusz Wielochowski, który już nie żyje, Olav Løkke i Sven Vigsven postanowili zorganizować pomoc do Polski. I wysłali pierwszy transport. I ten transport oczywiście... Wszyscy, którzy chcieli mieć kontakt z „Solidarnością”, to się kierowali do Gdańska. I przyszedł ten transport do Gdańska, i ja byłem u Lecha Wałęsy w gabinecie... Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy i Bożena Rybicka przysłała, która była sekretarką i zapytała się, gdzie wysłać transport z Norwegii, bo przyszedł, i odpowiedź, jest zawsze krótka, „do Jankowskiego”. Bożena mówi, że Jankowski nie chce, bo już nie ma miejsca, gdzie. No, to ja bąknąłem „a może Elbląg?”. No, to Wałęsa mówi „do Elbląga”. I tak przyszedł transport ze Stavanger do Elbląga. Tak się nawiązała współpraca. I jak był stan wojenny, jak ja już wróciłem z powrotem do domu z ławy, to otrzymaliśmy pomoc tutaj ze Stavanger, jako organizacja, podziemie „Solidarności” i my wtedy taki zrobiliśmy... Wymyśliliśmy pomoc... Projekt, żeby pomóc rodzinom, których osoby siedzą w więzieniu ze względów politycznych. Bo my, jako Związek, nie mieliśmy pieniędzy, żeby im dawać, Kościół też nie miał takiego funduszu, żeby tych ludziom pomagać, więc wymyśliliśmy, że jeżeli te kobiety by miały maszyny do szycia albo maszyny do robienia swetrów, to my możemy się z tymi prywatnymi właśnie dogadać, żeby rozprowadzali albo zlecali im pracę. I wtedy ze Stavanger taką... Przy takiej pomocy z odzieżą, z żywnością, przysłyły maszyny do szycia i maszyny do

robienia swetrów. I myśmy to rozdzielili To była na przykład jedna z takich bardzo ważnych... fizycznie dotykalnych pomocy, którą dostaliśmy tutaj ze Stavanger. I któregoś razu przyjechał pan Olav Løkke ze Stavanger i powiedział, że Stavanger kommune podjęło decyzję przyjęcia dziesięciu rodzin z Elbląga, które z powodów politycznych chcą albo muszą wyjechać. I wtedy właśnie pojechały te rodziny jak Kwiek, jak Soboń, Gierutas, Brzozowski, Ziółkowski. To pojechały te osoby tutaj do Stavanger z tej puli. A kiedy przyszła decyzja... Kiedy podjęliśmy decyzję, że ja wyjeżdżam, łącznie z moją rodziną i z kolegami, to z tego względu, że ja w Krajowej Komisji Porozumiewawczej byłem szefem działu zagranicznego, to miałem kontakt z praktycznie całym światem związków zawodowych, przynajmniej z tymi, którzy chcieli mieć kontakt z nami. Ja się... My się bardziej ustawialiśmy Bruksela, Paryż. Bardziej Bruksela.

JG: Wiedzieliście, że chcecie wyjechać, to było przesądzone?

RK: Tak. To już było pewne, że wyjeżdżamy. Po rozmowach w ambasadach amerykańskiej, kanadyjskiej, belgijskiej, francuskiej. I była decyzja, że... Że na Brukselę. Może dlatego, że tam były największe centrale związkowe, mieliśmy przyjaciela tam też, przyjaciół. I powiedziałem to księdzu w Elblągu, Józefczykowi. A on mówi „czemu nie Stavanger?”. Więc mówię „nie chciałbym nikomu zabierać miejsca z tej puli”. Dlatego, że pamiętam też z Ławy, jak przyjechał Międzynarodowy Czerwony Krzyż, to pierwszą osobą, z którą chcieli się skontaktować byłem ja, dlatego że oni mieli mnie na liście. Czyli my wszyscy, którzy byliśmy, powiedzmy, znani albo wysoko w hierarchii związkowej, to przez jakieś tam różne zasady, prawne, czy nie prawne, byliśmy albo chronieni, albo bardziej... Mieliśmy większą szansę na uzyskanie pomocy. A ci zwykli ludzie, którzy byli w części nieznanymi, a też robili dobrą i niebezpieczną robotę, po prostu mieli mniejsze jakby szanse, tak, że ja dbałem o to, żeby tej puli nie ruszyć. Przyjechał Tadeusz Wielochowski do Elbląga i to zostało mu przekazane, i on tutaj rozmawiał na miejscu, i myśmy uzgodnili, że ja tej puli... Ja jestem poza tą pulą. A później się okazało, że znowu... Ze względu, że byłem na liście u... To się nazywał komisarz do spraw uchodźstwa, w Genewie, przy ONZ... Byłem jednym z tych... Na tej liście osób bardziej znanych, czy ze struktur „Solidarności”, więc rząd norweski miał refundowane, nie wiem, czy w całości, ale w dużej części koszty przyjęcia nas, tak, że jak my jechaliśmy do Stavanger, to było jakby wszystko już przygotowane, my wiedzieliśmy, że mieszkanie, jakie mieszkanie i tak dalej.

JG: Czy myślałeś wtedy, że to będzie wyjazd na stałe?

RK: Chyba tak. Dlatego, że wiedzieliśmy, że my nie możemy wrócić. A już w momencie, kiedy dostaliśmy paszporty, to w paszporcie było white, że jest ważny w jedną stronę, bez prawa powrotu. Czyli to było nie tylko, że wyjazd na stałe... My zakładaliśmy... Byliśmy świadomi tego, że my może nigdy już do Polski nie przyjedziemy. A jeżeli, to po okresie uzyskania obywatelstwa norweskiego i zrzeczenia się obywatelstwa polskiego. Dlatego, że, pamiętam z Ławy... Był facet... Nie pamiętam dzisiaj, ze Stanów, czy z Kanady, ale miał obydwa obywatelstwa. I przyjechał po dwudziestu kilku latach pierwszy raz do Polski na święta, i został aresztowany, i zamknięty jako internowany. I był konsul kanadyjski u niego, i wtedy mu powiedział „pieniądze, paczki z żywnością, z papierosami, nie ma problemów”. Ale z więzienia nie mogą go wyciągnąć, dlatego że pierwsze jego obywatelstwo było obywatelstwem polskim i w Polsce jest traktowany jako Polak. I koniec. I my wiedzieliśmy, że jeżeli kiedykolwiek do Polski przyjedziemy, to dopiero co najmniej po siedmiu latach albo jeszcze dłużej, jak się zrzekniemy obywatelstwa polskiego. Przyjedziemy do Polski już tylko jako Norwegowie.

Karin Bleken: **Czy mógłby Pan opowiedzieć o swoim przyjeździe do Norwegii w 1984?**

RK: Jechaliśmy samochodem z Polski i promem do Ystad i przez Szwecję do Stavanger. Jako, że byłem jedną ze znanych osób w Solidarności postępować procedurą mającą na celu umożliwienie wyjazdu z Polski do Norwegii poprzez Sekretariat ds. Obcokrajowców ONZ w Genewie. Tak więc, wiedzieliśmy, co czekało nas w Norwegii, między innymi mieszkanie i spotkanie z Tadeuszem Wielochowskim, który osiedlił się w Stavanger i Olavem Laake, jednym z organizatorów pomocy dla Polski. Także ze Steinem Viksveenem ze Stavanger Aftneblad.

KB: **Jechał pan sam?**

RK: Nie, razem z żoną i pięcioletnią córką.

KB: **Jak zorganizowano podróż?**

RK: Olav Laake przyjechał raz do Polski, do Elbląga. Opowiadał, że gmina Stavanger zdecydowała się na przyjęcie rodzin polskich z Elbląga i okolic, które musiały czy chciały wyjechać z Polski z powodów politycznych. Ustanowiono kwoty na 10 rodzin. Ani ja ani moi koledzy z nieoficjalnego związku zawodowego nigdy nie przypuszczaliśmy, że wyjadę. Ale później, jak wpadłem w tarapaty z milicją, koledzy doradzili mi, że lepiej byłoby, gdybym wyjechał i pomagał pozostałym w kraju niż gdybym miał być zaaresztowany i osadzony w więzieniu. Najpierw postanowiliśmy, że wyjadę do Paryża albo Brukseli, bo byłem odpowiedzialny za wydział zagraniczny w Solidarności i miałem kontakty ze wszystkimi związkami zawodowymi na świecie (z tymi, które chciały utrzymywać kontakt z Solidarnością). Ale później Wielochowski powiadomił mnie (przez Laakego), że jeśli zdecydujemy się pojechać do Stavanger, będziemy mogli przyjechać poza kwotami określającymi limit na dziesięć rodzin. Dla mnie było to bardzo istotne, żeby zwykli ludzie, nieznanymi, którzy nie mają się jak chronić, dostali szansę wyjazdu. Ja byłem znany, więc umieszczono mnie na liście ONZ i Czerwonego Krzyża, co dawało mi więcej możliwości.

KB: **Czy ktoś na Pana czekał tutaj w Stavanger i czy podjęto przygotowania przed Pana przyjazdem?**

RK: Tak. Wielochowski, Laake, Stein Viksveen i jeden pracownik z gminy Stavanger. Tego dnia, kiedy przyjechaliśmy czekali na nas w miejscu zamieszkania Wielochowskiego. Później odbył się wywiad, konferencja prasowa i tym podobne. Wtedy rozumiałem bardzo mało z tego, co działo się wokół nas. Ale dziś dostrzegam, że byliśmy wykorzystani do gry politycznej pewnych osób, ktoś pokazał się z nami w gazetach. Ale nie mam nic przeciwko temu. Przyjęto nas w Stavanger bardzo życzliwie i nie mam żadnych powodów do narzekania.

KB: **Jakie były Pańskie odczucia podczas pierwszych dni na miejscu?**

RK: Bardzo wiele wrażeń. Musimy pamiętać, że wtedy były znaczne różnice między Polską a Norwegią, zarówno pod względem politycznym, gospodarczym, mentalności... Ale pod względem kulturowo-historycznym w Europie zawsze są jakieś punkty wspólne. Jeśli nie bezpośrednio z Norwegią to ze Szwecją czy Danią. Polska leży w środku Europy, więc jak spojrzeć na historię Polski, można zobaczyć, że wszelkie narodowości przebywały w Polsce albo starały się do niej wjechać. Najtrudniejszą kwestią dla nas była mentalność. Trzeba było zweryfikować kluczowe wartości. To co stanowiło wartość w Polsce, nie przedstawiało sobą żadnej wartości po przyjeździe do Norwegii.

KB: Konkretnie co takiego?

RK: W Polsce istniała konieczność utrzymywania znajomości z ludźmi, którzy mieli żywność i tym podobne. Tu w Norwegii, wystarczy mieć pieniądze. Jeśli ma się pieniądze, można osiągnąć lepszy standard. Jak się ma mniej, nie ma niebezpieczeństwa, że zabraknie dla nas żywności. Zawsze jest się zabezpieczonym.

KB: Mówi Pan, że później dostrzegł Pan, że został Pan wykorzystany do celów politycznych...?

RK: Proszę mnie źle nie zrozumieć... Zdaję sobie sprawę, że ludzie, którzy byli działaczami tej czy innej partii i mieli swoje wizje i ambicje chcieli pokazać, że pomagają Polsce i Solidarności. Sądzę, że postąpiłbym tak samo, jeśli miałbym ambicje polityczne. Nie odniosłem złego wrażenia. Wręcz przeciwnie. To dobrzy i mili ludzie, którzy zajęli się nami od pierwszej chwili.

KB: Czy uważa Pan, że rozumieli sytuację w Polsce?

RK: Ci, którzy nas przyjęli odwiedzali wcześniej Polskę. Byli zaangażowani i dobrze wiedzieli, co dzieje się w Polsce, dlaczego ludzie emigrują wraz z całymi rodzinami. Ale mało można było opowiedzieć ludziom spotkanym tu w Stavanger, którzy nigdy nie byli w Polsce, za to słyszeli jedynie coś w telewizji, radiu czy czytali w gazetach. Musieliśmy opowiadać, co się dzieje i dlaczego. Pamiętam, że miałem konferencję prasową w kościele katolickim w roku, kiedy ksiądz Popiełuszko został zabity przez milicję. Pojawiło się wiele różnych pytań odnośnie sytuacji politycznej w Polsce. Był rok 1984. Mówiłem, że śmierć ludzi nie była konieczna, ale myślę, że w ciągu kolejnych pięciu lat nic się nie wydarzy. Wszystko wymaga czasu. Po pięciu latach, w 1989, nadeszły pierwsze zmiany w polskiej polityce, więc był to łut szczęścia a może raczej umiejętność przewidywania, co się wydarzy w polityce...?

KB: Czy ktoś zachowywał się niezyczliwie w stosunku do Was?

RK: Nie. Nigdy. Byli ludzie, którzy rozpoznawali nasze twarze z artykułów zamieszczonych w Stavanger Aftenblad, którzy nas zatrzymywali w Stavanger. Pierwsze pytanie dotyczyło potwierdzenia, że to my. Później proponowali pomoc. Pojawiali się pracownicy banku, lekarze, zwykli ludzie, którzy pytali, czy potrzebujemy odzieży, mebli i podobnych. To było wspiane.

KB: Czy udało się Panu nawiązać kontakt z Polską na początku?

RK: Nie, to było prawie niemożliwe. Należy pamiętać, że wtedy nie było jeszcze telewizji satelitarnej. W Norwegii były tylko dwa kanały, które nadawały popołudniu. Ciężko było dodzwonić się do Polski. W Norwegii były telefony na guziczki, w Polsce był stary system. Poza tym, jako, że nie było nas tu dużo w Stavanger, większość zaczęła przesuwac się w stronę środowiska norweskiego i języka norweskiego. To było pozytywne, bo byliśmy zainteresowani i wiedzieliśmy, że musimy nauczyć się języka jak najszybciej.

KB: Czy udało się Panu nawiązać kontakty z organizacją po Pańskim przyjeździe do Norwegii?

RK: Tak, dlatego, że jak przyjechaliśmy do Stavanger była organizacja, która nazywała się Solidarność Norwegia-Polska. Była to typowa organizacja polityczna wyrażająca poparcie dla Solidarności. Prowadziliśmy zbiórki pieniędzy, które wysyłałmy przez ludzi jadących do Polski.

Było sporo polskich dziewcząt, które wychodziły za mąż za Norwegów. Miały norweskie

obywatelstwo, norweski paszport i prawo wjazdu do Polski. Wykorzystaliśmy je do pomocy w przewożeniu pieniędzy. Była też dziewczyna mieszkająca w Tønsberg, o ile dobrze pamiętam. Wyszła za mąż za Norwega, ale działała ze mną w międzynarodowej Solidarności. Często jeździła do Gdańska. To była bardzo wartościowa osoba, bo dokładnie wiedziała jak się poruszać itd.

KB: Z czym mieliście najwięcej problemów początkowo?

RK: Z rzeczami, z których dziś można się tylko śmiać... to nic poważnego. Po przyjeździe gmina Stavanger chciała nam udzielić wszelkiej możliwej pomocy. Tu, w Kvernåvik były zupełnie nowe bloki. Było też mieszkanie dozorca. Mężczyzna zatrudniony jako dozorca mieszkał w swoim domu niedaleko bloków. Gmina zdecydowała, że to mieszkanie będzie dla nas. Paniom pracującym w Urzędzie ds. Imigrantów nie podobało się, że dostaniemy to mieszkanie, bo miały dużo Wietnamczyków czekających na mieszkanie. Ale nas wzięto pod uwagę poza kolejnością, a to im się nie podobało. Dodatkowo, nie znaleźliśmy wtedy norweskiego. Mówiliśmy trochę po angielsku, więc nie było łatwo wyjaśnić, że to nie nasza wina, że zostaliśmy postawieni w takiej sytuacji. Ale później wszystko poszło dobrze, to były życzliwe osoby.

KB: Czy Pana oczekiwania odnośnie przyjazdu do Norwegii się spełniły?

RK: Nie.... Jak jechało się z Polski do Niemiec, Anglii czy Francji w tym czasie, 25 lat temu, wiadomo było, czego się spodziewać. Przy emigracji do Norwegii nie było żadnych oczekiwań, bo wiedza na temat Norwegii była bardzo mała. Byłem w ambasadzie norweskiej w Warszawie. Pamiętam, że zostało mi trochę czasu do pociągu powrotnego do domu, więc poszedłem do księgarni poszukać książek na temat Norwegii. Znalazłem przewodnik dla turystów i mały słowniczek. Była też mała pozycja, wielkości zeszytu, na temat królów norweskich. To były trzy małe książeczki, jakie udało mi się zdobyć i przeczytać. Pamiętam, że w jednej z książek napisano, że Norwegia ma duże złoża ropy i gazu. W tamtej chwili zdecydowałem, że powinniśmy pojechać do Norwegii. Wiedziałem, że moi koledzy, którzy wyemigrowali do Francji czy Belgii mieli problemy z pracą. Pomyślałem, że jeśli kraj ma złoża ropy, to nie powinno być większych problemów z załatwieniem sobie pracy. Dla nas najważniejsze było to, żeby nie żyć z zasiłku. W Polsce nie funkcjonował system pomocy społecznej i nie przyznawano pomocy społecznej. Przyjechaliśmy do Norwegii w grudniu 1984. W maju 1985, po pięciu miesiącach, zacząłem pracę jako mechanik samochodowy, żeby zapewnić nam własny dochód. Ewa zaczęła pracę jako asystentka ds. języka ojczystego w przedszkolu w sierpniu tego samego roku

KB: Jak radziliście sobie z nauką norweskiego?

RK: Chodziliśmy na kurs. Jak przyjechaliśmy w grudniu nasza szkoła i wszystko inne było pozamykane. Potem był Nowy Rok i Wielkanoc. Nie trwało to zbyt wiele miesięcy czy tygodni. Byłem na kursie przez cztery miesiące a Ewa chodziła do końca, aż do lipca. Zdaliśmy sobie sprawę, że najlepsze miejsce pracy na naukę norweskiego to przedszkole. Bo dzieci zadają dużo pytań i chcą znać odpowiedź niezależnie od tego czy jesteś Norwegiem czy obcokrajowcem. Zacząłem jako mechanik samochodowy, rozmowy o samochodach i nauczyłem się nazw części samochodów etc. Jedyne w przerwie na kawę czy lunch miałem kontakt z innymi.

KB: Jak opisałby Pan spotkanie z Norwegami?

RK: Tu w Stavanger ludzie byli bardzo gościnni. Zapraszano nas do siebie itd. Ale nie czuliśmy się zadowoleni. Ludzie chcieli słuchać o nas i o naszym kraju, ale nasz

angielski był bardzo słaby. Więc przez jakiś czas nie rozmawialiśmy szczególnie dużo, ale jedynie siedzieliśmy w milczeniu. Ale potem, jak zaczęliśmy mówić po norwesku, było dużo lepiej. Poza tym, w 1986 zacząłem pracować na platformach wiertniczych. Wtedy bardzo szybko szła mi nauka norweskiego, przy 14-dniowych okresach postępowania się jedynie norweskim i trochę angielskim.

KB: Co Pana najbardziej zaskoczyło przy spotkaniu z Norwegią?

RK: Dwie sprawy: że ludzie nie myśleli o tym, żeby wyłączać elektryczność i że wychodzili z domu nie zamykając drzwi na klucz.

KB: Czy coś Was rozczarowało?

RK: Nie, to było dla nas coś nowego. Pamiętam, jak wjechaliśmy pierwszego wieczora do Stavanger, gdzie było pełno oświetlonych domów na wzgórzach. Było to w okresie Świąt Bożego Narodzenia, więc ulice były udekorowane. Zupełnie inaczej niż w szaro-burej Polsce, gdzie było niewiele lampek i prawie żadnych światełek na ulicach. Dla nas było to królestwo kolorów.

KB: Spotkały Państwa jakieś inne rozczarowania po przyjeździe tutaj?

RK: Nie pamiętam żadnych negatywnych zdarzeń ani nic co nas złościło, czy jakichś przejawów rasizmu. Wręcz przeciwnie. Zarówno na ulicy jak i u sąsiadów czy w urzędach, w systemie biurokratycznym. Później, jak przyjechałem do Polski i poszedłem do urzędu zastosowałem norweskie zwyczaje. Powiedziałem: "dzień dobry, czy może mi Pani pomóc"? W Polsce raczej trzeba użyć: "Dzień dobry, potrzebuję pomocy." Trzeba zaadaptować mentalność nabytą w Norwegii do polskich realiów.

KB: W jaki sposób?

RK: To zupełnie inny sposób wchodzenia w relacje z ludźmi. I to wymaga czasu. W Europie stres jest wszechobecny i wszystko musi toczyć się coraz szybciej. W Norwegii ludzie są "wyluzowani", zachowują spokój w obliczu stresu, wiedzą, że ludzie potrzebują trochę czasu. Najważniejsze, czego nauczyłem się pracując na platformie wiertniczej to to, że czas jaki się zużywa to nie najistotniejsza kwestia, ale że praca jest wykonana i nikt nie musi przychodzić i poprawiać po raz kolejny. A także zaufanie. Na przykład, jak dzwoni się do urzędu i przedstawia jakąś sprawę. W Polsce jest pełno papierologii, pieczętek, biurokracji. Nie chcę powiedzieć, że obecnie, ale tak było za czasów komunizmu.

KB: Czyli zaufanie?

RK: Tak. To samo tyczy się sklepów albo poczucia bezpieczeństwa na ulicach. Można wyjść kiedy ma się ochotę i wie się, że nic się nie stanie, o ile nie ma się wielkiego pecha. W Norwegii można wyjść na ulicę i czuć się bezpiecznie. Sąsiedzi czuwają. Ale w inny sposób: w Polsce sąsiedzi i rodzina są bardziej ze sobą zżyci. W Norwegii relacja jest bardziej na „cześć” czy „dzień dobry”, ale nie jest tak silna w życiu codziennym.

KB: Czy wyczuwa Pan tu większy dystans?

RK: Nie, raczej inny styl życia. Ludzie są zadowoleni z życia i wartości, które wyznają. Także szanują sąsiadów, nie wchodzą, jak to my mówimy „z buciorami do łóżka”.

KB: Czy może Pan opowiedzieć jak potoczyło się Pańskie życie w tych latach? Zaczął Pan pracować w trybie off-shore...?

RK: Tak, do tej pory zajmuję się tym. Pracuję przy ropie. Ostatnio miałem mniej

wyjazdów na platformę.

KB: Czy mieszkaliście Państwo w tym samym miejscu przez cały czas?

RK: Nie, wcześniej mieszkaliśmy w bloku w Kvernavik. Potem kupiliśmy dom w Madla. Kilka lat temu sprzedaliśmy [go] i kupiliśmy dom w Kvernavik. Trochę przykro jest słyszeć o okolicach Kvernavik, bo jest tam dużo szeregowców i pełno młodych rodzin z małymi dziećmi, które dorastały razem i przyjechały w najgorszym wieku, około 15 lat. Powstał gang, który miał dużo kłopotów z policją. Ale obecnie, na przykład dla rodzin, które mają psa te rejony to raj. Parę metrów do morza i bardzo spokojnie.

KB: A Pańska córka, wyfrunęła już z gniazda?

RK: Kasia studiowała psychologię w Anglii. Uzyskała tytuł magistra na uniwersytecie w Kopenhadze. Podczas studiów w Anglii myślała, że zamieszka i podejmie pracę w Londynie. Poczym przeniosła się do Kopenhagi, tam odnalazła swoje miejsce. Więc mieszka tam na Południu i ma własną klinikę psychologiczną.

KB: Czy jesteście Państwo zaangażowani w życie organizacji?

RK: Tak, dużo czasu poświęcamy na działalność w Towarzystwie Polsko-Norweskim w Stavanger. Powstało ono w 1984 roku, kilka miesięcy przed naszą przeprowadzką do Norwegii. Powodem było wprowadzenie stanu wojennego w Polsce. Ciężko było skontaktować się z rodziną z Polski, ciężko było jechać do Polski. Ale było trochę starszych osób z Polski, które były kiedyś w więzieniu... Chcieli założyć klub w celu wymiany informacji, które otrzymywali z Polski. Dodatkowo, Stavanger prowadziło zbiórki odzieży i żywności w celu wysyłania ich do Polski. Dobrze było mieć jakieś miejsce, gdzie można się było przyłączyć. Towarzystwo działało aż do 1996, jeśli dobrze pamiętam. Jedni zmarli, nastąpiło wiele zmian w Polsce. Inni mieszkali tutaj przez dziesięć-dwanaście lat, mieli domy, pracę, mówili po norwesku. To zupełnie zrozumiałe, że jeśli ludzie rodzą się w tym samym kraju, to niekoniecznie muszą się przyjaźnić. Potem ludzie czują potrzebę spotkań w wąskim gronie przyjaciół. Ale przed trzema-czterema laty przyjechała do Norwegii nowa fala emigracji. Zauważyliśmy, że przyjeżdżali do Stavanger, jak „królik do lasu i nie udawało im się iść naprzód. Więc podjęliśmy inicjatywę, by wznowić działalność stowarzyszenia. Byliśmy zgodni co do tego, żeby kontynuować działalność starego stowarzyszenia, które miało dobrą tradycję a nie zakładać nowe. Wybrano mnie na przewodniczącego. W tym roku będziemy mieli nowe wybory przewodniczącego, ale wygląda na to, że będę wybrany na kolejną kadencję. Mamy około 300 członków.

Wystartowaliśmy z nowym projektem tu w Stavanger. Dwa tematy: Kobiety i rodzina, a drugi: Pracownicy w branży budowlanej. Równolegle będziemy organizować kurs norweskiego dla 30-to osobowej grupy. Pięć do dziesięciu z nich będzie nadal pracować w polskim środowisku. Projekt będzie trwać przez rok.

KB: Czy może Pan wymienić najważniejsze wydarzenia w Pańskim życiu po przyjeździe do Norwegii, kamienie milowe?

RK: Są dwa punkty przełomowe w moim życiu. Pierwszy to w roku 1980 podczas strajków w Polsce, kiedy byłem jednym z tych, którzy szli naprzód, a nie tylko byli częścią szarej masy, która biernie czekała. Drugi to, kiedy zdecydowaliśmy się na wyjazd do Norwegii. Kiedy samodzielnie polepszyliśmy sobie standard życia. Ale najważniejsze jest to, że daliśmy sobie tę szansę na o wiele lepsze życie. Może pojawić się pytanie czy to istotne, że wyemigrowałem z Polski a nie zostałem z innymi kolegami z Solidarności. W pewien sposób czuję, że to nie było właściwe. Ale z drugiej strony, wielu z nas wstąpiło do związku zawodowego (Solidarność) w 1980 jedynie z powodu

emocji, nie dlatego, że byliśmy wykształceni albo dobrze obeznani z polityką. Nigdy nie byłem politykiem i nie będę politykiem. W polityce nie ma się przyjaciół, istnieją jedynie wizje i ambicje. Osobiście myślę więcej o pracy społecznej. Zawsze będę pracować z ludźmi i im pomagać. W polityce tak się nie da.

KB: Jak się Panu wiedzie w Norwegii obecnie?

RK: Jeśli miałbym opisać wrażenie, jakie wyrobiłem sobie przez ostatnie 25 lat mieszkania w Norwegii, powiedziałbym, że decyzja, którą podjęliśmy, by wyprowadzić się z Polski była zdecydowanie dobra. Pamiętam rozmowę telefoniczną w Wałęsą w 1989. Chciał, żebym wrócił do Polski i zaczął budować nowy system. Ale powiedziałem mu, że to by był błąd. Jest wystarczająco ludzi w Polsce, którzy nadają się na polityków. Uważam, że byłoby o wiele lepiej, żeby ci, co wyemigrowali, na przykład ja, mieszkając w Norwegii, starali się poszerzyć kontakty z ludźmi biznesu, którzy będą chcieli inwestować w Polsce i włączą się w odbudowę Polski, zorganizują miejsca pracy i przyczynią do stworzenia lepszego standardu życia dla zwykłych ludzi. Jeśli miałbym wrócić, żeby zostać politykiem i machać do kamer i robić podobne rzeczy... Nie byliśmy do końca zgodni, nie podobało mu się to. Ale jak rozmawiałem z nim później, zgodził się ze mną, że najważniejsze jest, żeby polskie środowiska na całym świecie pracowały nad nawiązywaniem kontaktów. To o wiele lepsze niż filozofia.

KB: Tęskni Pan czasem za Polską?

RK: To przychodzi z wiekiem, tak mi się wydaje. Po przeprowadzce do Norwegii, kiedy osiągnęliśmy stabilizację w życiu, prywatnym i zawodowym, wiele rozmawialiśmy o powrocie do Polski i osiedleniu się tam, kiedy osiągniemy wiek emerytalny. Mieliliśmy wybudować dom albo mieszkanie. Ale po kilku latach kiedy mieszka się w innym zakątku świata, zaczyna się tęsknić za rzeczami, których brakowało na samym początku. Na przykład potraw, rodziny i tym podobnych. Jak przyjeżdżamy do Polski i spotykamy starych przyjaciół i rodzinę itd. i zaczynamy rozmawiać, okazuje się całkiem szybko, że żyjemy w dwóch różnych światach. Moje problemy są niezrozumiałe dla nich, a ja nie potrafię zrozumieć ich problemów. Poza tym, dowiedzieliśmy się, że polska opieka zdrowotna nie działa tak, jak powinna. Jest wiele do zrobienia, żeby osiągnąć taki poziom jak w Norwegii. Tak, że nie byłoby to całkiem rozsądne, żeby się przeprowadzić z powrotem do Polski, kiedy się starzejemy i będziemy potrzebować opieki zdrowotnej. O wiele lepiej jest zostać tu. Moja siostra mieszka w Holandii. Ewa, moja żona, nie ma rodzeństwa. Dopóki matka i teściowa mieszkają w Polsce, mamy po co jechać do Polski co roku, a może częściej. Ale kiedy ich zabraknie, wystarczy, że przyjedziemy do Polski raz na dwa-trzy lata. Dobrze się czujemy w tym środowisku, odwiedzając zabytki, muzea etc. Ale muszę powiedzieć jedno... na temat tego, co określam jako cenę bycia obcokrajowcem. Jak się jest obcokrajowcem, nie oznacza to, że istnieje problem z systemem politycznym, opieką zdrowotną... Problem tkwi w relacji z rodziną, od której jest się daleko. Dowiadujesz się różnych rzeczy w ten sposób jak z mediów. Ale nie uczestniczy się, ma się poczucie, że jest się wyjętym poza nawias. Nie uczestniczy się w pogrzebach, przy narodzinach dzieci w rodzinie. To najwyższa cena, jaką emigrant płaci – nie ma potraw, nie ma osób, za którymi tęsknisz. Jeśli ludzie tęsknią za miejscami, mogą tam pojechać i zobaczyć swoją dawną szkołę, plac zabaw. To całkiem logiczne. Jak jedziemy na wakacje, a nie na zwiedzanie. Najwyższa cena, jaką emigrant płaci to przegapienie najistotniejszych wydarzeń, które dzieją się u najbliższych.

Jacek Galewski: Jaki masz teraz kontakt z Polską?

RK: A taki sam jak ty, jak każdy. No, to trzeba też ująć... Pytanie, w jakiej formie? Czy

to jest na przykład, że codziennie się idzie i odwiedza mamę, czy rodzinę, co... Co ja sądzę, że osoby, które mieszkają w Polsce... Nie wszystkie, ale na pewno jest część taka, która odwiedza swoich bliskich tak samo często, jak ja tutaj albo przynajmniej rozmawia. Mam akurat taki abonament, że jak dzwonię do Polski, to nic nie płacę. Dlatego, że to idzie przez Internet, opłaca się tylko stan. Tak, że ja z mamą praktycznie codziennie mogę sobie porozmawiać, czy z teściową. Czasami zadaję sobie pytanie, ilu ludzi w Polsce, którzy mieszkają, powiedzmy, w bardzo dużej odległości od siebie, rozmawiają, powiedzmy, codziennie, czy często się spotykają. Ale jeżeli chodzi o [kontakt] fizyczny, no, to od dwóch do pięciu razy w roku jesteśmy w Polsce. Albo razem, albo każde z nas z osobna.

JG: Zdefiniowałeś Polskę jako swoją rodzinę....

RK: No, bo to jest najważniejsze. Jeżeli się w Polsce nie uczestniczy w jakiejś działalności, czy nie prowadzisz firmy, działalności finansowej, czy jakiegoś biznesu, to najważniejsza to jest rodzina. Co by nie było. A nawet jeżeli nie, to zawsze rodzina jest najważniejsza, bo to są rzeczy, których nie odbudujesz. Dziadek mnie tak uczył... To, co wspomniałem na początku, jak ojciec zmarł, jak miałem jedenaście miesięcy, no, to mama, żebym ja miał zapewnioną jakąś taką opiekę, to oddała mnie na wieś do swoich rodziców. Ja tam się wychowywałem, więc dziadek mój był takim moim autorytetem i on mnie takich rzeczy uczył, że na przykład „najważniejsze zdrowie, bo resztę, to można dorobić” i z uśmiechem, „albo ukraść”. Że najważniejsza, to jest rodzina, że z przyjaciółmi możesz się poznać, ale możesz się pokłócić. No, możesz mieć przyjaciół, możesz stracić. Z rodziną... Będą konflikty, ale zawsze będziesz rodziną, do końca. Stracisz rodzinę tylko jak będziesz na pogrzebie. Inaczej się rodziny nie traci. Pozyskuje się, rodzina przybywa, bo się nowi rodzą, ale... Jeżeli są konflikty w rodzinie, to... Oczywiście, ludzie się gniewają, ze sobą nie rozmawiają, ale to zawsze jest rodzina.

JG: Czy gdybyś się miał porównać z kimś, kto jest twoim rówieśnikiem i mieszka w Polsce, gdybyś miał porównać swoją sytuację z sytuacją takiego kogoś, to uważasz, że jesteś w lepszym czy gorszym położeniu?

RK: Może, powiedzmy, tam dwadzieścia lat temu, kiedy była bardzo duża różnica... Znacząco, była różnica systemu i duża różnica ekonomiczna, to wtedy by się można było porównać, „rzeczywiście, jestem bogatszy od tych, co w Polsce”. Wiadomo, że za dolara w Polsce zawsze można było kupić dużo więcej jak za dolara za granicą. Ale jeżeli chodzi o wartości moralne, wewnętrzne... Nie da rady, tak myślę. To jest bardzo osobiste. Ja będę miał mniejszą wartość, jak spotkam osobę typu autorytetów polskich, ale będę miał wartość większą, jak spotkam jakiegoś żulika, który siedzi na ławce i popija tani alkohol. No, więc jeżeli się na to patrzy... A jeżeli się zakłada rodzinę jako rodzinę, typu dom, praca, to nie, to ja nie widzę, żadnej różnicy. Mentalnie, tak. Będzie różnica mentalna, inne spojrzenie na świat, inne... Może więcej ludzie mają kompleksów w Polsce jak ja tutaj. Brak poczucia pewności, to jest w Polsce często zauważalne. Mniejsze przykładanie wagi do własnych, osobistych rzeczy posiadanych... Ja nie myślę nawet materialnych, ale jako osobowych. Przykładem, jest to, że my zawsze, Polacy, jesteśmy najlepszymi politykami i najlepszymi lekarzami, zawsze wiemy, jak wszystkie problemy rozwiązać. Jak w Polsce się powie o czymś, co boli, to zaraz... Jest od razu diagnoza, jaka to jest choroba, czym się należy leczyć i kto ostatnio na to umarł. Ale poważnie mówiąc, to ja myślę, że ogólnie chyba nie da rady określić. Ja bym się nie odważył porównać do osoby, czy rodziny mieszkającej w Polsce, a na Zachodzie. Ja myślę, że wartość jest ta sama. Jeżeli się bierze ludzi z tego samego, powiedzmy, moralnego punktu, czyli ludzi, którzy dbają o siebie, dbają o rodzinę, dbają o... Znacząco, mają świadomość dbania o swoje wartości narodowe, czyli

flaga, hymny, które zostało zniszczone... Te wartości zostały zniszczone za czasów komunistycznych. Szacunku dla tego kraju, z którego się pochodzi, czyli nie ma wstydu, że się mówi w języku polskim, nie ma wstydu, że się mówi „ja jestem Polakiem”, to ja uważam, że chyba różnicy bym nie znalazł. Naprawdę.

JG: A jak oceniasz zmiany w Polsce od roku 1981?

RK: Polityczne czy ogólnie? Wszystko razem? No, polityczne, to my wiemy. Zmienił się system polityczny...

JG: Pytam o twoją ocenę.

RK: Ocenę? Ja powiem tak: Nie znajdzie się w świecie sprawiedliwego, czy w stu procentach dobrze funkcjonującego systemu. Nie ma takiego. Jeżeli chodzi o przemianę zwykłego Jana Kowalskiego w Polsce, to tu też jest temat znany, że system ekonomiczny i system polityczny bardzo szybko można zmienić, ale mentalność człowieka, to są pokolenia. I to jest jeden konflikt, który jest w tej chwili w Polsce, że systemy polityczne, systemy ekonomiczne bardzo szybko się zmieniają, gdy mentalność człowieka zmienia się bardzo powoli. I drugie, co uważam wielkim paradoksem politycznym, chyba nie ma drugiego takiego kraju w świecie, gdzie związki zawodowe trzymają z prawicą. Jest to potężny błąd, ale dla mnie jest to zrozumiałe, dlatego że ja z tego kraju wychodzę i wiem, dlaczego po pięćdziesięciu, czy pięćdziesięciu kilku latach systemu komunistycznego to nie można się dziwić, że ludzie nie mają zaufania do partii czerwonych, czy partii lewicowych, robotniczych. Ja uważam, że dużo jeszcze będzie się działo złego w Polsce, jeżeli chodzi o politykę, dopóki związki zawodowe będą trzymać z partiami prawicowymi. Dlatego, że to się kłóci samo w sobie. Związki zawodowe mają socjalistyczny program, nie da rady z prawicą trzymać, wspierać prawicę. To jest nie do pogodzenia.

JG: A jak oceniasz swoją decyzję o wyjeździe? Czy teraz, gdybyś miał zadecydować ponownie...?

RK: Myślę, że bym chyba zrobił to samo. Ja pomijam trudności osobiste, których zaznałem w tamtym czasie, ale uważam tak... Ja po pierwsze jestem społecznikiem, a nie politykiem. Czyli w samej polityce bym się nie odnalazł. Ja uwielbiam pracować z ludźmi, ja uwielbiam pracować dla ludzi. Mam satysfakcję z tego, że mogę komuś pomóc albo że pomogłem i że... I nie oczekuję wdzięczności. W polityce nie ma satysfakcji, że się zrobiło coś dobrego, tylko się oczekuje wdzięczność, czyli lepszą karierę, wyższe stanowisko, lepsze od drugiego. Ja nigdy nie byłem politykiem i myślę, że gdybym został w Polsce, to bym się w polityce nie odnalazł. Ja miałem taką dość ostrą dyskusję przez telefon z Lechem, kiedy miały się odbyć rozmowy Okrągłego Stołu. Lechu był za tym, żeby wracać do Polski, bo potrzebni są ludzie, a ja byłem za tym, żeby właśnie nie, że jak jesteśmy za granicą, to mamy znaleźć ludzi, którzy chcą zainwestować w Polsce, żeby w ten sposób odbudować jak najszybciej system ekonomiczny. A politycy to są na miejscu, to się następnymi wychowują, ale te pieniądze niech jak najszybciej do Polski dotrą i to jest nasza praca tutaj, za granicą, prawda.

JG: Czy to znaczy, że nie myślałeś nigdy o powrocie?

R. K.: Nie, nie. Nie miałem nigdy takich ciągot, żeby wrócić do Polski. Tu są ludzie, którzy są moimi przyjaciółmi, którzy, jak długo mieszkają, to ciągle mówią, że wrócą do Polski, tylko... Tylko... I to „tylko” jest zawsze nowe albo większe. I oni nigdy nie wracają. Ale dlaczego? Kiedy my wyjeżdżaliśmy z Polski, to byliśmy świadomi, że oprócz tego, co mnie w Polsce spotykało, to jedziemy poprawić sobie nasz status życiowy, czyli warunki życia. Mamy córkę pięcioletnią, której chcemy stworzyć lepszą

szansę w życiu i za to jej dziękuję, że skorzystała z tego dziewczyna. Kiedy tutaj byliśmy, to wprawdzie nie mogliśmy do Polski jechać, bo nam na to nie zezwalał system polityczny. A kiedy już mogliśmy jeździć do Polski, to ja byłem bardziej zainteresowany, żeby w Polsce otworzyć jakąś działalność i tak zrobiłem. Jest firma, która się nazywa RTK Spółka z o.o., tam mamy kilka swoich patentów, jeden jest mój, patent tutaj z Norwegii, do platform olejowych i to jest produkowane w Polsce, jest tutaj wysyłane. Tak, że przy dzisiejszej komunikacji, to ja myślę, że ta bariera, gdzie się mieszka, zginęła. Dzisiaj jest Internet, gdzie można bardzo szybko informacje przesyłać. Dzisiaj są wszelkie formy telefonii, gdzie można bardzo szybko informacje przesyłać i dzisiaj są bardzo mocno rozwinięte linie lotnicze. Dużo jest tanich linii lotniczych, czyli fizyczna komunikacja, przemieszczanie się jest bardzo proste. Już nie wspomnę o tym, że zginęły bariery polityczne, czyli nie ma granic, czyli starania się o wizę i tak dalej. Ja dzisiaj uważam, że jeżeli tutaj się czuję bezpiecznie... Bo Norwegia taka jest, jest krajem bezpiecznym, można o każdej porze wyjść i się nie ma co przydarzyć. No, trzeba mieć pecha albo mieszkać w dużych ośrodkach... Stolicy mają swoje prawa i swoje zasady życia. To ja uważam, że dzisiaj nie ma powodu, żeby wracać do Polski. Wybudowaliśmy dom sobie w Polsce, w Jantarze i to było też z myślą, że na stare lata tam zamieszkamy. Ale jak się dochodzi do tego wieku emerytalnego, to człowiek dopiero zaczyna odczuwać, że to zdrowie zaczyna już nie być... Się nie jest takim szybkim, że już potrzeba tej opieki. I dopóki w Polsce służba zdrowia, system służby zdrowia nie funkcjonuje tak, jak powinien... Dużo jeszcze trzeba zrobić, żeby przynajmniej dorównać do tego systemu, co tu jest w Skandynawii. To im starszy, to ja wolę być tu i mieć tą opiekę, taką, jaka... Można narzekać na tą opiekę, większość to irytuje, że w tym kraju nie brakuje pieniędzy, a często się słyszy, że „brak pieniędzy na opiekę społeczną”. Ale to są rzeczy, które nas irytują, ale to nie ma nic znaczenia z tym systemem... Albo wyciąganiem negatywnych wniosków, co do systemu zdrowia, czy szkolnictwa w Norwegii. To jest dobre. Tak, że jeszcze w Polsce niech tam trochę poprawią, to my, staruchy, wrócimy wtedy.

Dziękujemy za rozmowę.

Zapis i redakcja fragmentów nagrania w języku polskim: Jacek Galewski.

Zapis i redakcja fragmentów nagrania w języku norweskim: Karen Bleken.

Przekład z norweskiego przez Biuro tłumaczeń MULTICITI ITAIO.pl